AS



TO TAŃCZY NANCY CARROLL...

Nr. 27.
1 WRZEŚNIA 1935 R.
CENA 40 GROSZY

NASZ WIELKI KONKURS

NA

NAJPIĘKNIEJSZY UŚMIECH.

W odpowiedzi na liczne zapytania uczestników naszego wielkiego konkursu na „Najpiękniejszy Uśmiech“ stwierdzamy, że w myśl podanych przez nas przy otwarciu konkursu warunków, zamieszczamy tylko te fotografje, które jury zakwalifikowało jako odpowiednie do reprodukcji zarówno pod względem artystycznego opracowania, jak i technicznego wykonania.

Zdarza się często, że nadesłane nam zdjęcie wykazuje braki techniczne, choć jego strona artystyczna przedstawia się bez zarzutu. Przesyłający takie zdjęcie Czytelnik ma żal do nas, że jego „uśmiech“ nie został przez nas zamieszczony. Otóż w interesie tych wszystkich „pokrzywdzonych“ jeszcze raz podkreślamy konieczność przestrzegania odpowiedniego poziomu technicznego i artystycznego w nadsyłanych fotografjach, gdyż tylko te z nich, które powyższym wymogom odpowiadać będą, znajdą się na łamach naszego Magazynu.

Nawiązując do naszych uwag z poprzednich numerów „Asa“, stwierdzamy wzmożony napływ „uśmiechów płci brzydkiej“, na którą widać podziałał nasz ostatni apel.

W dalszym ciągu pragnęlibyśmy jednak otrzymywać więcej fotografij twarzy charakterystycznych, w których nie tyle piękno, ile raczej omawiana przez nas poprzednio fotogeniczność zadecydowała o ich pierwszorzędnym wyrazie. Wtedy dopiero nasz konkurs stanie się naprawdę interesującym przeglądem „pięknych uśmiechów“.

Głosujący znajdą kupon konkursowy na str. 26 niniejszego numeru.



„Nieznany“ — Inowrocław.





Na lewo: Dz. O. — Kraków.

Na prawo: „Pułkownikowa S.“, Warszawa.

Poniżej: „Beata“ — Lwów.



„Jagna“ — Chełmno.





E. W. — Kraków.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ.
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.

AS

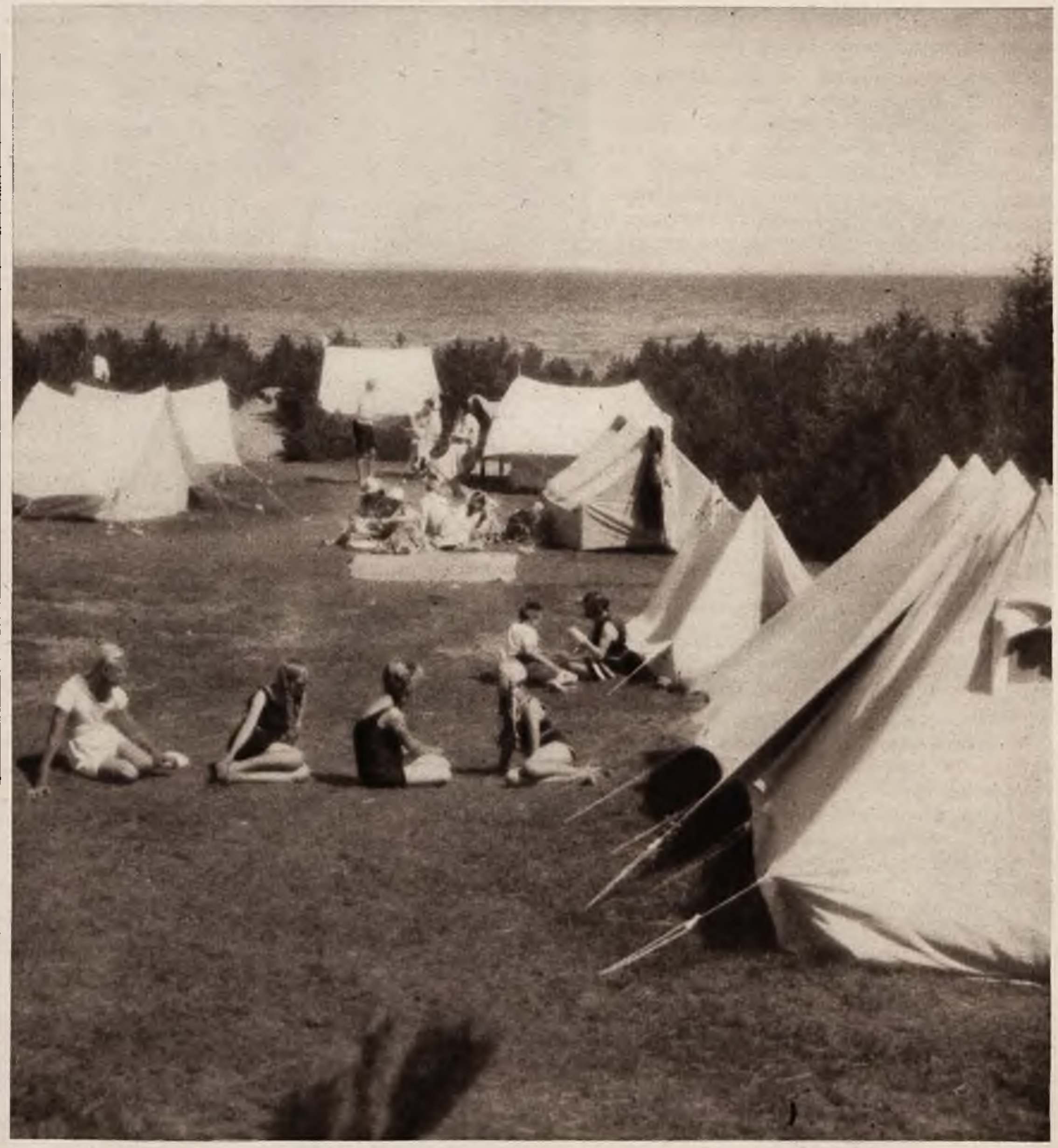
ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600. Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 27 **Niedziela 1 września 1935** **Rok I**

ASY NUMERU 27-GO:



Wzorem zagranicy, gdzie tego rodzaju imprezy sportowe już dawno wywalczyły sobie prawo obywatelstwa wśród jaknajszerszych warstw społeczeństwa, camping rozwija się i u nas pomyślnie, wciągając w swe szeregi coraz więcej młodzieży. Ostatnio zainteresowały się nim różne organizacje społeczne, które dla swych członków przygotowują rokrocznie odpowiednie tereny, wybierając na te obozy zwykle okolice Podhala, lub wybrzeża Bałtyku. Na zdjęciu: Fragment obozu campingowego nad naszem morzem.

POIRET – EXKRÓL MODY.



Paul Poiret — do niedawna dyktator mody kobiecej.

Jeszcze niedawno Paul Poiret był u szczytu sławy. Elegantki ubiegały się o względy jego licznego personelu, płacąc hojnie za rady i modele. Potentaci licznych gałęzi przemysłu z przerażeniem oczekiwali nowej mody, jaką na dany sezon lansować będzie Poiret, dyktator i wyrocznia w tym względzie. Jednym zdaniem rujnował tę, podnosił inną gałąź przemysłu...

To on wprowadził modę „Jupe-culotte'ów", które potem przetworzył na pidżamę plażową. Prowadził jednocześnie wielki dom mody salon sztuki i perfumerję. Czyż trzeba dodać, że rozporządzał banknotami tysiącfrankowemi, jak inni jednofrankówkami? A że nie brakło mu fantazji — przyjęcia jego znane były na całym świecie, towarzystwo bowiem, uczestniczące w tych przyjęciach, było par excellence międzynarodowe. Jego barka na Sekwanie, gdzie urządzał słynne bakchanalje i jego zamek w pobliżu Paryża — były świadkami sławy wielkiego Poireta.

Niedawno Paul Poiret przyjął mnie w swym skromnym apartamencie, mieszczącym się na dwóch ostatnich piętrach pałacu Pleyel'a Gdy zameldowano mnie, siedział właśnie na balkonie, na ósmym piętrze. Spojrzał w mą stronę, i nie wstając z fotelu, zawołał:

— Proszę! Niech pan wejdzie lub ściślej: niech pan... wyjdzie... z mieszkania!

W ten sposób, zatrzymawszy się na chwilę... w połowie tego zdania, przestąpiłem próg i znalazłem się obok starca o niegolonej brodzie, przygarbionego, siwego. Twarz sterana. Nie stracił jednak, jak widzimy z powyższego zdania, humoru. Wskazał mi ręką drugi fotel i rzekł bez ceregieli:

— Zastaje mnie pan tu, pogrążonego w rozmyślaniach. Jak codzień o tej porze błogosławię tego, który zrujnował mnie do reszty To Oustric! Mieszka tam, naprzeciwko!



Poświęca on dużo czasu malarstwu...

Naprzeciw stał dom sześciopiętrowy. Siedzieliśmy na terasie ósmego piętra, pogrążonej w słońcu. Twarz Poiret'a rozjaśniła się na chwilę. Dorzucił:

— Ale mimo wszystko... jestem wyżej, niż on!

Istotnie... O dwa piętra! Muszę tu dodać, że Poiret posiada manję robienia kalamburów. Wydał ich nawet cały tom i wciąż jeszcze lubuje się w ich układaniu, jak to wskazuje sposób, w jaki mnie przyjął. Do Paryża wrócił niedawno. Gdy zdał sobie sprawę, że nie posiada już nic, uciekł na wieś i żył tam w ukryciu dwa lata. Czytał, pisał. Wydał dwie książki, obie niezwykle ciekawe i pełne wspomnień i anegdot przeżytych. Wreszcie znalazł ukojenie w malarstwie, choć nigdy przedtem nie malował. Wystawił swe obrazy w Galerji naszej rodaczki, p. Żakowej i tu zjednał sobie ogólne uznanie tłumu paryskiego. Nie po raz pierwszy sięgał Poiret po jakieś nowe rzemiosło, sztukę, czy zawód Nigdy nie taił, że zaczął swą karjerę jako chłopiec na posyłki w pewnym magazynie parasolniczym. Był modelarzem, krawcem, wreszcie słynnym kreatorem mody. Był reżyserem, artystą kinowym, kapitanem barki, właścicielem karuzeli na jarmarku.... To on występował wraz z Colette, recytował bajki La Fontaine'a dla płyt gramofonowych, ułożył (oprócz wyżej wymienionych) słynną książkę kucharską, lansował malarstwo kubistyczne, modę 1900 roku, Riwjerę w lecie, setkę artystów, dziś słynnych, i bo ja wiem, co jeszcze!

W ciągu dwudziestu lat był on osobistością najbardziej popularną obok Cecile Sorel i Maurice Rostanda, najczęściej służył za temat piosenkarzom, kabaretom, pozostając jednocześnie bożyszczem kobiet... Popularną była jego sylwetka w cylindrze słomkowym, w spodniach nankinowych z czarnym lampasem.....

Teraz siedział naprzeciw mnie, skurczony, jeszcze dowcipny, nawpół nieobecny. Ożywił się, jak każdy bankrut, na wspomnienie górnych chwil przeszłości. Ze sztuki nowoczesnej, rozmowa zeszła na ludową. Przypomniał sobie wtedy Poiret, że jestem Polakiem, a on artystą, który bawił w Polsce i przywiózł miłe wspomnienia.



Poiret, przyrządzający potrawy w swej kuchni.



W rękach Poireta materjał nabiera form mistrzowskiej kreacji.

Uderzyła go ilość motywów ludowych, stosowanych w Polsce, to też po przyjeździe do Francji postanowił utworzyć lokalne szkoły malarskie dla dzieci chłopskich, by w ten sposób wyzyskać ich świeżą fantazję. Twarz jego używiła się. Podskoczył do szafy i przed oczyma memi zamigał kilkunastoma barwnemi płótnami. Lecz wyrazista twarz jego szybko zgasła:

— Szkoła, jaką stworzyłem, a w której starałem się zachować pełną indywidualność zdolnych uczniów (innych nie brałem) z ludu, niedługo utrzymała się. Intrygi... Nie zrozumiano mnie. A tymczasem dzieci te wnosiły tyle nowego! I to dzięki temu, co widziałem w Polsce!

I znów z jakiejś szafy wyciąga polskie stroje ludowe, krakowskie i inne, jakby dla zaakcentowania swych słów. Trzęsącą się sparaliżowaną ręką wodził po pięknych motywach... Słońce zachodziło. A gołąbek biały wyfrunął z jakiegoś kąta i usiadł na trzęsącej się ręce.

* * *

Dla Poireta słońce zaszło zupełnie, lecz zdołał on znowu wznieść się. W jednym z wielkich magazynów prezentował ostatnio swe modele, ale już nie po 10.000 franków. Potem dostał jakąś inną posadę z litości. I z litości wysoką pensję. Lecz Poiret nie stracił fantazji. Wybrał zaliczkami pensję na kilka miesięcy zgóry. I wtedy zażądał... podwyżki. Odmówiono mu. Podziękował za posadę! — Dziś jest nędzarzem. Sprzedał resztki swej fortuny i bibljotekę. Przechodnie poznają Poireta niekiedy w jednym z biedaków, przychodzących na zupę do którejś z kuchni dla bezrobotnych...

A niekiedy opowiada nowym przyjacielom-włóczęgom:

W czasie wojny byłem zwykłym żołnierzem, lecz nie bardzo chciało mi się służyć i częściej bawiłem w Paryżu niż w koszarach. Raz jechałem mem „Hispano" do Paryża w stroju przezemnie wynalezionym, a podobnym do generalskiego... Zatrzymuje mnie patrol. „Papiery!" — wołaja. A ja: „Jak to nie wiecie że wojna skończona!?" — Uradowani puścili mnie... Wojna trwała jeszcze lat parę a ja trzy razy stawałem przed trybunałem wojennym..."

Poiret opowiada. Tamci słuchają z niedowierzaniem jednej z jego pięknych ‚bajek".

Jak otatnie wiadomości podają — upadły dyktator mody został zaangażowany niedawno do wiedeńskiego Ronachera gdzie jest najnowszą atrakcją i ‚sensacją obecnego sezonu". O, biedny Poiret'cie — jakże okrutnie sprawdziło się na tobie łacińskie przysłowie, zaczynające się od słów: „Sic transit...

Zygmunt Frenkiel (Paryż).

Poniżej: Jeden z wielu pejzaży, malowanych przez wszechstronnie utalentowanego Poireta.







Poiret w otoczeniu swych manekinów, podczas pokazu mody w Berlinie.



Na lewo: Miasto przyszłości z filmu „Metropolis". *Fot. Ufa.*

TECHNIKA JUTRA.





„Douglas", najszybszy samolot pasażerski świata (na prawo w przekroju).
Fot. Delius — Paryż



Ktokolwiek zada sobie trudu dla pobieżnego bodaj przeglądnięcia czasopism ilustrowanych z przed lat niewielu, czy też dzieł, starających się rzucić snop światła na przyszły rozwój techniki, uderzy go jedno, a mianowicie, że dzisiejsza rzeczywistość przekracza najbujniejszą wyobraźnię ludzi, którzy oparci o dorobek naukowy i doświadczenie minionych lat, starali się technice kreślić nowe drogi.

Nie brak w tych wizjach przyszłości bardzo ciekawych wniosków i spostrzeżeń. Nie brak w nich planów i pomysłów, które znalazły pełną realizację w rozwoju techniki współczesnej, ale naogół rzecz biorąc, wszystkie pomysły jeszcze nie tak dawnych lat zostały w zupełności i bez reszty zlikwidowane przez dni idące.

Nie wchodzimy w tej chwili w zasadnicze szczegóły budowy współczesnych machin, motorów, pojazdów, samolotów i t. d. Opis nawet pobieżny tego wszystkiego, co dziś widzimy i czem się posługujemy w dziedzinie techniki, przerasta ramy nawet najbardziej obszernego artykułu. Poruszymy tylko kwestję kształtu dzisiejszych środków lokomocji, sprawę, — która — jak się okazuje — jest zagadnieniem pierwszorzędnej wagi.

Zagadnienie to, poza walorami czystej estetyki, ma jeszcze walory zasadnicze, a jest nim zwiększenie chyżości ruchu.

Dni idące, to realizacja hasła, jakie zrodziło się w dobie, gdy pierwsza niezdarna lokomotywa ruszyła po szynach w Anglji, a mianowicie hasła: prędzej! Ludzkość współczesna śpieszy się. Nie ma czasu na zatrzymanie się w pochodzie, nie ma czasu na wytchnienie, musi iść coraz to szybciej, coraz dalej i coraz wyżej. Jesteśmy świadkami stawiania nieprawdopodobnych rekordów. Widzimy upraszczanie życia na każdym kroku i wyręczanie człowieka na każdem polu pracy, przez machinę roboczą, przystosowaną możliwie wszechstronnie do warunków i terenu podejmowanego trudu.

Człowiek schodzi coraz bardziej do swej roli zasadniczej, a mianowicie do kierującego i twórczego mózgu, który coraz to nowe kształty obmyśla, coraz nowe tworzy, a z stworzonych buduje nowy świat.

Ten świat przyszły leży za zasłoną wielkiej tajemnicy. Mimo naszego dorobku na polu wiedzy i techniki, mimo możliwości snucia najbardziej fantastycznych wniosków, nie możemy kusić się o zajrzenie poza tę zasłonę. Możemy tylko, porównując lata minione z dobą obecną, stawiać mniej lub bardziej prawdopodobne wnioski na temat tego, co nas jutro czeka.

Powróćmy do kształtów. Człowiek minionych dni zdawał sobie sprawę należycie z tego, że kształt środka lokomocji jest zasad-



„Burlington Zephyr" najszybszy pociąg Ameryki — na lewo widziany z zewnątrz — powyżej jego luksusowe wnętrze.

Fot. New York Times.

niczą dominantą, jeśli chodzi o czynnik chyżości. Wiedział dobrze, że ażeby osiągnąć możliwie największą szybkość ruchu w samochodzie samolocie, lokomotywie, czy parowcu, musi się wziąć pod uwagę opór ośrodka, w którym się poruszają, a więc powietrza i wody.

Rozpoczęły się długie mozolne studja, drobiazgowe obserwacje, podpatrywanie przyrody i wyciąganie z nich praktycznych wniosków. Podpatrywano lot szybkich ptaków, zwłaszcza wędrownych, podpatrywano ryby pływające w oceanach. Z budowy ich ciał, z linji ich ruchu, rodziła się powoli myśl o nowym kształcie, który dziś nazywa się aerodynamicznym.

Ten kształt, jaki dziś coraz częściej przyjmują samochody, czy samoloty, jaki dziś posiadają lokomotywy, wagony kolejowe i dalekobieżne statki transoceaniczne, rodził się ewolucyjnie, przechodząc różne fazy. Pamiętamy klinowo ścięte chłodnice samochodów, pługi rozcinające powietrze, ustawiane u czoła lokomotyw, sylwetki samolotów, które — jak się zdawało — są już szczytem wszystkiego.

A tymczasem żmudne badania i ścisłe wyliczenia dały linje fantastycznych kształtów. Potrzeba twórcza w dziedzinie techniki stworzyła nowy kształt, a z nim razem poza praktycznością nowy kanon estetyki.

Pamiętamy wszyscy żywo film, który był w swoim czasie rewelacją sezonu. Nosił tytuł „Metropolis" i obiegł ekrany kinoteatrów na całej kuli ziemskiej. Autorzy tego filmu wysilali swą fantazję na stworzenie wielkiej wizji przyszłości, której człowiek, oparty o swą wiedzę, byłby wyłącznie dyktatorem machin, jakie mu służyć miały. Jeśli dziś weźmiemy pod uwagę obrazki z tego filmu, uderzy nas przedewszystkiem linja aerodynamiczna, jaką przewidywali jego twórcy. Zaznacza się ona na pojazdach mechanicznych, jakie krążyć miały po stolicy przyszłości. Ten kształt drzemał już w umysłach ludzi z przed lat dziesięciu, ale spotkał się jeszcze w tym czasie z pewnym sceptycznym uśmiechem. Dziś nie dziwimy się nowym kształtom, a raczej doszukujemy się w niech błędów i staramy się je poprawić, ażeby stały się jeszcze bardziej praktyczne, jeszcze bardziej przystosowane do celów, jakim służyć mają.

Postęp rodzi się z niezadowolenia z doby dzisiejszej. Niezadowolenie z wyników dotychczasowej pracy jest bodźcem do tworzenia rzeczy nowych, rewolucyjnych w zestawieniu z tem, co jest. Myśl ludzka jest z natury swej rewolucyjną i w tem leży jej potęga twórcza.

Kiedyś za fantastę i półobłąkanego wizjonera uważano pogodnego i uśmiechniętego zawsze Juljusza Verne. Dzisiaj uśmiechamy się, czytając jego wizje przyszłości. Uśmiechamy się, patrząc na rzeczywistość, ale w duszy podziwiamy genjusz wielkiego proroka techniki dzisiejszych dni.

Wizja Juljusza Verne oszałamiała nas jeszcze przed laty dwudziestu. Dzisiaj wizje z przed pięciu lat już nam nie imponują. Wystarczy spojrzeć na dzisiejsze najszybsze środki komunikacyjne na ziemi i w powietrzu, ażeby się o tem przekonać.

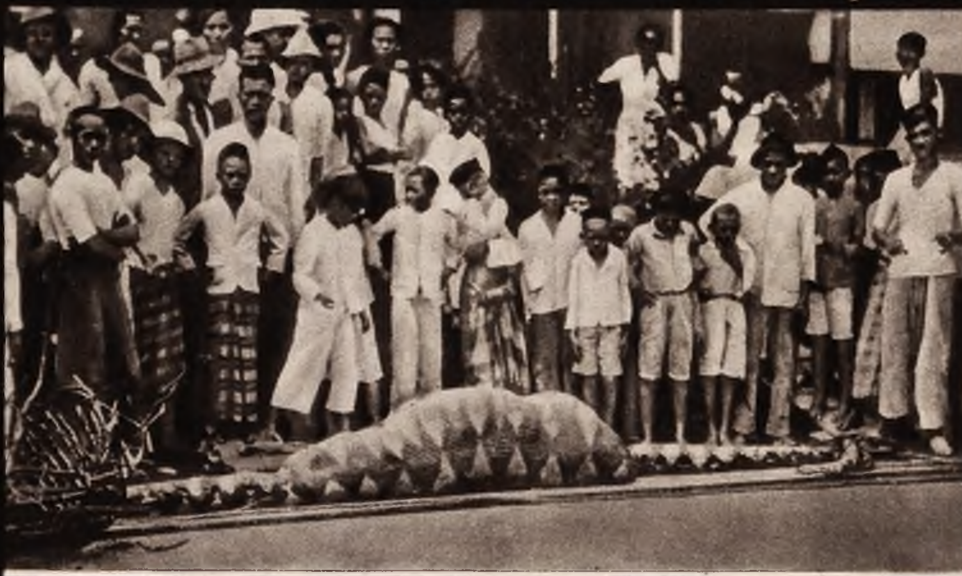
Amerykanie stworzyli nowy typ samolotu i nowy typ pociągu. Samolot Douglas jest dziś najszybszym samolotem pasażerskim i pocztowym na świecie. (Zakupiono go ostatnio dla polskich linij „Lotu"). Najszybszym pociągiem na świecie jest pociąg Burlington Zephyr. W obu tych środkach lokomocji uderza przedewszystkiem kształt. Zarówno samolot, jak i pociąg mają kształty aerodynamiczne. Miękkie, łagodne linje, zrodzone ze żmudnych wyliczeń, z równań matematycznych, nad któremi trudziły się umysły matematyków, fizyków i konstruktorów, pozwalają na jak najskuteczniejsze zwalczanie oporu powietrza.

Jeszcze wczoraj imponował nam „latający Szkot", czy „latający Hamburczyk". Dziś oba te pociągi są kształtem przebrzmiałym. Pa-

Dokończenie na str. 31-ej.

RZECZY ★ CIEKAWE.

UCZTA OLBRZYMIEGO WĘŻA.





W miasteczku Pontianak na wyspie Borneo zdarzył się dziwny wypadek. W biały dzień na pobliskiej łące zginęła pasąca się świnia wagi 80 kg.

Na trzeci dzień po tym wypadku spostrzeżono spoczywającego nieruchomo pytona o długości 7 m 40 cm nad brzegiem rzeki Kapoeast, o zagadkowo wzdętem cielsku. Natychmiast zorganizowano obławę na dziwnie nieruchawego węża. Jakież było zdziwienie, gdy po łatwem schwytaniu i rozpruciu leniwego pytona znaleziono w jego wnętrzu zaduszonego wieprza, w całości. Proces trawienia zaledwie rozpoczął się i trwałby około miesiąca. Niewiadomo, czy ten nadpoczęty z lekka wieprz smakował później szczęśliwemu właścicielowi. Chińska kuchnia posiada w swym repertuarze dziwniejsze smakołyki, jak naprzykład mięso tychże pytonów, których tłuszcz używany bywa jako środek leczniczy.

Jak wiadomo, skóra egzotycznych wężów, a zwłaszcza pytonów jest cenną zdobyczą myśliwską. Tubylcy eksportują ją masowo do Europy i Ameryki, gdzie używa się jej obecnie w wielkich ilościach do wyrobu wykwintnego damskiego obuwia, rękawiczek itp.

„DJABEŁ MORSKI" W WODACH BAŁTYKU.

Przy połowach ryb stają się przypadkową zdobyczą rybaków kaszubskich odmiany wielce oryginalnej ryby, zwanej dla swych potworkowatych kształtów „djabłem morskim", knurhanem, lub kurem (Cottus scorpius).

Rybacy znajdują kura w sieciach i niewodach dennych. Odpowiednio wysuszony, bywa on przez nich używany jako „barometr", wskazujący od biedy pogodę i kierunek wiatru. **dz.**



PARZENICE GÓRALSKIE



Parzenice są ozdobą stroju góralskiego nawet na codzień... Fot. „As".

Wśród bogatego zdobnictwa zanikających ubiorów naszego ludu, odznacza się oryginalną formą rysunku i pięknością barwy parzenica góralska. Parzenicą nazywamy charakterystyczne barwne wyszywania na białych spodniach góralskich, w górnej części nogawic w około „przyporów". Jest ona ściśle związaną ze zdobnictwem góralskiem Podhala i Beskidu Zachodniego. Sama nazwa parzenicy jest dzisiaj dość trudną do wyjaśnienia. Nazwa jej przyjęła się na oznaczenie formy sercowatej używanej bądź w zdobnictwie, w stroju, lub w rzeźbie. W dawniejszem słownictwie ludowem spotyka się nazwy na oznaczenie dzisiejszej parzenicy: cyfrę, ubiór lub przystrój przypora.

Parzenice góralskie, a raczej moda ich wyszywania na spodniach nie ma zbyt dawnej przeszłości i nie można w niej szukać wiekowej tradycji. Ukazuje się bowiem w zdobnictwie stroju góralskiego dopiero w połowie XIX w. a najbujniejszy jej rozkwit przypada na pierwsze dziesiątki XX w. Niewątpliwie możemy twierdzić, że jej pierwotna forma pętlowa została przez lud zapożyczoną z mundurów wojskowych, a w szczególności husarów węgierskich, pyszniących się bogactwem szamerunków. Przez pobliskie sąsiedztwo Węgier dostała się parzenica na spodnie naszych górali. Analogiczne zdobienie spodni spotykamy u ludów bałkańskich (Serbja, Czarnogóra, Albanja). Najstarsze parzenice robiono z wełnianych, kręconych sznurków, które wito w zwykłe czerwone pętle.

Z chwilą gdy wprowadzono do wyszywania kolorową włóczkę, a więc technikę hafciarską, zdobnictwo parzenic przekształciło się w ściegowe. I wtedy to zaczął się bogaty rozwój swoistej ornamentyki, zależnej od fantazji i zdolności wytwórcy. Parzenice są dziełem naszych wiejskich krawców-zdobników. Haftują je z reguły mężczyźni, szyjący zarazem spodnie. Bogactwo i fantazja wyszycia parzenic zależy również od życzeń oraz zapłaty zamawiającego. Najzdobniejsze parzenice noszą młodzi parobcy, starsi gazdowie zadowalają się skromniejszemi w kolorach. W zdobieniu parzenic używają krawcy prawie zasadniczo włóczki czerwonej i niebieskiej. Najbogatszą skalą barw odznaczają się parzenice zakopiańskie i nowotarskie, a to na skutek wprowadzenia do nich ornamentyki roślinnej. Parzenice najstarsze i spotykane w innych okolicach posiadają cechy geometryczne. W zdobnictwie szczegółowem posługują się krawcy swojskiemi wzorami „gadzików, smreków, pazdurków i mirwy". Wśród współczesnych parzenic możemy zaobserwować cały rozwój ornamentalny od skromnego „obłamka", tj. małej pętli jednobarwnej, do bogatszego serca, czy wreszcie do ogromnej i pysznej parzenicy Skalnego Podhala. Naogół spotykane dzisiaj parzenice posiadają dwie formy: pierwotniejszą, pętlową, używaną na południu, a więc podhalańskie, spiskie i orawskie, oraz sercowate noszone na północy góralszczyzny u Kliszczaków Zagórzan i górali pienińskich. Kombinacją formy serca i pętli są piękne parzenice okolic Łącka i Szczawy, dumnie nazywane przez miejscowy lud *„węzłami rycerskimi"*.

Mimo, iż parzenice, jako zapożyczone przez nasz lud góralski z Węgier, to jednak pod wpływem fantazji i zdolności naszych krawców-zdobników przybrały cechy swojskie, oryginalne i polskie. W tej odrębności tkwi ich piękno i wartość.

Jak w innych dzielnicach Polski, tak też i na góralszczyźnie ustępować zaczął piękny strój ludowy, zastąpiony przez tandetę jarmarczną. Dziś jednak z radością stwierdzamy, że pod wpływem kryzysu wraca znowu polska wieś do swoich własnych wyrobów, skutkiem czego można obserwować nawrót do ludowych strojów. Dlatego możemy być pewni, że długo jeszcze kraśnieć będzie na zgrabnych białych „portkach" góralskich, dumna i piękna parzenica polska.

Prof. Stanisław Borkowski.



Parzenica sercowa — Mszana Górna, pow. Limanowa.
Rys. S. Borkowski.



Parzenica pętlowa — Glisne, pow. Limanowa.
Rys. S. Borkowski.



Bogata parzenica zakopiańska.
Rys. S. Borkowski.



Najstarsza parzenica z Rabki — pow. Nowy Targ.
Rys. S. Borkowski.

OBRAZA PRAWA

J. M. BRZESKI

NOWELA

Niedawno temu doniosły dzienniki o tragedji inż. Kower'a z Chicago, słynnego konstruktora robotów...

— Ty Elzo, i ja wiemy, że jego zimny mózg oblicza, wytycza drogi, bada prawa natury... Ale nie może zrozumieć uczucia...

— Joe zrozum, że mój ojciec jest człowiekiem, jak inni — i tylko fakt, że bardzo mnie kocha i chce mi zapewnić jak najlepszą drogę do jutra...

— Drogę do jutra... — uśmiechnął się gorzko Joe. Drogę poprzez chłód, pełną wygód i pieniądza, ale bez serca. Elzo czy zgodzisz się na to?...

Zbliżył się kelner. Miną wyrażał smak potraw i honory domu. Ułożył bezdźwięcznie metalowy serwis. Podsunął łyżki, chochelki, łopatki. Sprawdził zastawę. Uniósł pokrywy. Skłonił się.

— Czy zgodzę się Joe? Pytasz — czy zgodzę się? O Joe!...

Spojrzał na nią miękkim, ciepłym wzrokiem. Jego rysy zmiękły. Postanowił być dobrym dla niej, dla tej małej dziewczynki w ciemnym kostjumiku.

Zapach pieczonych potraw, trochę perfum. Światło żyrandoli przymglone, jak księżyc, który ma stwarzać nastrój. Amarantowe kanapy. Trochę brylantów. Szmery, miękkie refleksy. Orkiestra zacznie grać za chwilę. Pewnie blues...

Joe zamówił wino. No — niech będzie prawdziwa uczta. Oczy Elzy pełne były śmiechu.

— A możeby tak ananasy z kremem — prosił Joe.

Właśnie zaczęli grać. Blues. Chór saksofonów, potem afrykańskie rytmy i już płynie czysta melodja, opiewana głosem trąbki. Joe spochmurniał.

— Wiesz Elzo — postanowiłem. Jutro będę u twego ojca. Rozmówię się z nim ostatecznie. On nie jest z granitu. Nasza miłość musi go zwyciężyć.

— Joe, ja nie chcę, żeby to była ostatnia szansa. Przecież właściwie nigdy nie rozmawiałeś z ojcem o tem. On może będzie zaskoczony. Może nie odpowie odrazu... Nie — ja nie chcę żeby od tego „jutra" miały zależeć nasze losy. Trzeba być upartym i wytrwałym. Wtedy można zwyciężyć.

Oczy chłopca stwardniały, zapatrzył się przed siebie. Przez chwilę nie odpowiadał obejmowany trwożliwem spojrzeniem dziewczyny.

— Nie Elzo — rozpoczął wreszcie powoli. Ta niepewność musi się skończyć. Trwa ona już tyle miesięcy. Tak dawno ułożyliśmy wszystko, postanawiając każdy drobiazg. Dlaczegoż mielibyśmy czekać dłużej?

Elza posmutniała, ale oczy jej pełne były blasków. Kąciki ust zadrgały.

— Ach, ty mój kochany! — szepnęła wpatrzona w niego.

Nie potrafiła powiedzieć nic innego. Kiedy była sama — trapiło ją tyle wątpliwości. Ten chłopiec, wielki, prawdziwy mężczyzna, uspokajał ją. Był tak prosty i tak odważnie pojmował życie.

Znowu rozpogodzili się. Spojrzeli na siebie i roześmiali się.

Było już późno. Przy stolikach likiery i czarna kawa. Cygara i rozmowy przesycone optymizmem. Joe i Elza wstali.

— Wiesz co Joe, mówiła Elza — nie bierzmy auta, — pójdziemy sobie piechotą... O nie, — ja nie jestem zmęczona i właśnie chcę tak iść. Iść daleko... z tobą... — dokończyła.

Nic nie mówili do siebie. Szli w skupieniu wśród błysków czarnego asfaltu, sunących aut, człapiących dorożek i świetlnej ulewy latarń.

Wolnym krokiem minęli śródmieście. Skręcili w szeroką aleję, potem w boczną ulicę i poszli szpalerem drzew.

— Mój Ty kochany — szepnęła na pożegnanie Joemu — Elza. Ucałowała go. Potem jeszcze chwilę patrzyła za nim, jak szedł równym, elastycznym krokiem — szczupły i wysoki. Zadzwoniła, gdy znikł w pasmach dalekich świateł. Drzwi uchyliły się.

— Czy ojciec u siebie — zapytała pokojówki.

— Tak, proszę panienki. W pracowni.

Elza zdjęła kapelusik i w płaszczu wyszła drugiemi drzwiami do ogrodu. Betonową ścieżką wśród kwitnących w czerni nocy wiśni — poszła ku oświetlonym oknom małego domku. Zapukała do drzwi.

— Och ojcze — wciąż jeszcze pracujesz. Już późno...

Przed Elzą stał wysoki, siwy, o nieco pochylonych plecach — pan. Spojrzał na nią swemi szaremi oczyma. Otwarł ramiona i przygarnął do siebie dziewczynę.

— Moje dziecko — powiedział — czy wiesz, że jestem u celu?... że przebrnąłem przez wszystkie trudności i stworzyłem to, co chciałem?

— Jakże jesteś szczęśliwy — ojcze...

Poszli razem w głąb pracowni. Wkoło stoły zarzucone papierami. Tu i ówdzie przyrządy elektryczne. W kącie warsztat. Maszyny, zwoje drutów. Na ścianie tablica rozdzielcza, heble, zegary. Duże lampy umieszczone w górze pod lejkowatemi reflektorami oświetlały jaskrawo to pobojowisko wiedzy z zagadkami natury. Pod ścianą oparty na żelaznym trójnogu — spoczywał błyszczący setkami odbić, zimny, niezdarny człowiek ze stali.

— Oto mój triumf — mówił siwy pan, zatrzymując Elzę. Oto doskonały i nieomylny twór, który wykonywać będzie rozkazy żywych ludzi.

— Ojcze, czy „on" jest całem twojem życiem? — spytała mimowoli.

— Moje dziecko, ciągnął powoli siwy pan, ty i myśli o tobie wypełniają moje dni. Kocham cię Elzo, a praca nie zabiera mi ciebie.

— Jeżeli mnie kochasz ojcze — zaryzykowała — jeżeli mnie kochasz, to czemu...

— Bo pragnę twego dobra, — przerwał ojciec. — Wzrosłaś w dobrobycie, nigdy niczego nie odmówiono ci, więc nie wiesz, co znaczy wyrzekanie się codzień czegoś. Przed wielu złemi chwilami chcę cię obronić, Elzo.

— Ale przecież Joe ma świetną przyszłość. A także teraz nie powodzi mu się źle. To bardzo zdolny człowiek i... ja go tak kocham ojcze...

— Ależ Elzo, ja zgadzam się w zupełności z tem, co mówisz. Joe jest przemiłym chłopcem, ale to nie zapewnia minimum potrzebnego do życia. Wiesz, jak stoją moje interesy. Nie Elzo — pójdziesz drogą, którą ci wskaże ojciec.

Zaciął silnie usta, muskuły twarzy wyrażały upór. Elza postąpiła kilka kroków ku wyjściu. Odwróciła się jeszcze i powiedziała:

— Joe przyjdzie tu jutro. — On wszystko ci opowie. Może pojmiesz wtedy, że takiemu mężczyźnie można zaufać.

— — — — — — — — — —

Joe miał cały dzień popsuty. Hamował się. Powtarzał tysiące razy, że wszystko będzie napewno dobrze, że ojciec Elzy zgodzi się. A jednak nie potrafił utrzymać się w stałym, pogodnym nastroju pewności siebie. Coś korciło go ciągle. Uzmysławiał sobie, co się stanie, gdy spotka go odmowa. Wtedy... Krew nabiegała mu do głowy, a ręce zaciskały się.

— Ale ja to wszystko przezwyciężę. Przezwyciężę upór, niedowierzanie, starość. — Powtarzał sobie.

Zbliżała się powoli godzina 5. Godzina, która miała zadecydować „o wszystkiem" jak wydawało się Joemu.

Jakoś tego dnia zmierzch zapadł wcześniej. Niebo pokryte było gęstemi chmurami. — Kwietniowa pogoda wiała jeszcze chłodem. Joe włożył palto i wybiegł z mieszkania. Na ulicy przywołał taksówkę i kazał się zawieźć na Bukową.

Joe czuł, że jest mu trudno opanować się. Był zdenerwowany. Kiedy taksówka zgrzytnęła hamulcami — Joe zapłacił i szybko wyskoczył na chodnik. Zaczął padać deszcz. Liście drzew szumiały w przeciągłym gwiździe wiatru. Joe podszedł do bramy i zadzwonił.

— Ach jesteś — wykrzyknęła Elza na powitanie —

Joe starał się być obojętnym.

— Kochany, nagliła Elza — teraz żadnych rozmów. — Idź, proszę do ojca. Potem opowiemy sobie wszystko... To tędy, tą ścieżką, aż do drzwi domku...

Joe zanurzył się w cieniu ogrodu. Słychać było jego kroki, potem trzask bramy. Elza zamknęła drzwi hallu i przeszła do saloniku. Serce jej biło. Na twarz wystąpiły wypieki. Niespokojnie przerzuciła kilka książek, leżących na stoliku. Podeszła do żardinjery. Ujęła w dłonie pęk różowych róż. Blade płatki osunęły się na ziemię. Spojrzała w okno, wychodzące na ogród. Zdawało się jej, że w oknach pracowni mignął jakiś cień.

— Boże, pomóż Joemu — szepnęła.

Tykanie zegara na kominie wsączało nudę i niepokój w atmosferę tego złoto-niebieskiego pokoju. Elza spojrzała na tarczę. Była 5,20. Dziewczyna osunęła się w róg kanapy — rozpostarła ramiona na poręczach i przymknęła powieki. Zegar tykał, więdnące kwiaty pachniały silnie. Elza odczuła, że przenika ją spokój. Z suteryn doleciał szczęk jakiegoś naczynia i znowu zapanowała cisza.

Kiedy Elza otworzyła powieki i spojrzała na zegar — była 6.15.

— Boże, przecież to prawie godzina minęła — pomyślała.

Pobiegła do okna. W pracowni paliło się światło. A więc jeszcze rozmawiali. A może — pomyślała Elza — Joe zobaczył mnie w saloniku i myśląc, że śpię wyszedł? Zegar

wybił 6,30. Elza niezdecydowana wyszła do hallu. Uchyliła drzwi. Cisza. Tylko wiatr poruszał liśćmi. Elza wzięła płaszcz i wyszła do ogrodu.

Pod drzwiami pracowni znowu to niezdecydowanie. Z wewnątrz nie dochodził najlżeszy szmer. Zapukała. Nikt nie odpowiedział. Więc ujęła klamkę i otwarła bramę. Minęła przedpokój. Znowu nadsłuchiwała, wreszcie rozwarła drzwi gabinetu. Było dość ciemno. Tylko jedna lampa paliła się na biurku. Elza przeszukała kręgiem spojrzenia wielki pokój i naraz zdawało jej się, że ziemia chwieje się pod nogami. Uczuła piekący, zimny prąd, otulający jej głowę. Krzyknęła ostatkiem świadomości i runęła na ziemię.

— — — — — — — — — —

Gdy Elza otworzyła oczy, odzyskując przytomność — zobaczyła, że jest w swym pokoju i leży na łóżku. W kącie cicho pochlipywała pokojówka. Nad łóżkiem stał pochylony lekarz. W powietrzu unosiły się zapachy soli trzeźwiących i jakichś lekarstw.

Zwolna uprzytomniła sobie wszystko, co zdarzyło się i znów przymknęła oczy. A więc — myślała — tak skończyły się sny o szczęściu. Czy koniecznie musiała stać się ta straszna rzecz... Ujrzała pracownię i ojca leżącego na ziemi bez życia, a nad nim Joego, wpatrzonego szklannym wzrokiem w przestrzeń.

— Doktorze — zapytała słabym głosem — jak to wszystko się stało?...

—Muszę pani powiedzieć — odrzekł doktór, — że nie powinna pani teraz o niczem myśleć. Trzeba odpocząć i uspokoić nerwy.

— Ależ ja muszę wszystko wiedzieć. Niepewność gotowa mnie zabić. Ja będę o wiele spokojniejszą, jeżeli mi pan wszystko opowie... — prosiła.

Doktor poruszył się niespokojnie, wreszcie przysunął krzesło, usiadł przy łóżku chorej i odesłał pokojówkę.

— Wezwany tu — rozpoczął wreszcie — przybyłem prawie równocześnie z policją... Po przeniesieniu pani do tego pokoju pozostawiłem ją opiece służącej, sam zaś udałem się do pracowni... Ojciec pani nie żyje. Został zabity uderzeniem ciężkiego, żelaznego drąga, który leżał obok. Obecnie policja bada, kim jest morderca ojca pani. Mężczyzna ten bowiem nie daje żadnych wyjaśnień.

— Jakto! Więc pochwycono zabójcę? — przerwała Elza.

— Naturalnie. Musiała go pani widzieć. Przecież jeszcze policja zastała go w pracowni, gdy siedział obok swej ofiary i...

— Ależ doktorze to pomyłka, pan Milton jest moim narzeczonym. Przyszedł do nas, by prosić ojca o moją rękę...

Twarz doktora wyrażała najwyższe zdumienie, potem przerażenie. Zaczął się tłumaczyć...

— Tak doktorze! — przerwała mu Elza. — To nie on jest zabójcą. Pocóż miałby zabijać mego ojca. Czy poto, aby mnie stracić? Pan go zna, doktorze. Wspominałam panu nieraz o Joem.

W drzwiach stanęła pokojówka oznajmiając. że inspektor policji chce widzieć się z Elzą. Dziewczyna kazała go wpuścić.

— Musi mi pani wybaczyć — zaczął mały, pulchny pan, że niepokoję ją, ale prowadzę śledztwo i muszę poznać szczegóły tej sprawy. Proszę mi opowiedzieć wszystko, co wie pani o tej sprawie.

Elza skupiła się.

— Widziałam się z ojcem o godz. 4-tej. Był w willi, bo potrzebował czegoś z bibljoteki. O godz. 5-tej przyjechał p. Milton. — Umówiliśmy się, że będzie o tej porze u nas. Ojciec wiedział o jego wizycie. Zaraz po przyjściu udał się do pracowni ojca.

— Przepraszam — przerwał inspektor. — Kto to jest Milton i w jakim charakterze tu przybył?

Elza spojrzała wymownie na doktora.

— Joe Milton, to mój narzeczony. Przyszedł, aby prosić ojca o moją rękę. To właśnie ten pan, którego panowie zastali w pracowni...

Inspektor pozostał nieruchomy. Jedynie jego zimne oczy wyrażały zdumienie.

— A więc — ciągnęła Elza — pan Milton udał się do pracowni ojca. Ja czekałam na odpowiedź. Bardzo byłam niespokojna...

— Czy wolno wiedzieć dlaczego? — wtrącił inspektor.

— Bo... — Elza zawahała się — bo mój ojciec był przeciwny naszemu związkowi, a Joe oświadczył, że ta rozmowa zadecyduje... Powiedział mi, że musi przezwyciężyć upór ojca i przekonać go.

W tej chwili Elza odczuła niejasno, że oskarżyła Joego.

— Proszę, niech więc pani opowiada, jak było dalej.

— Zostałam w saloniku. Musiałam być zmęczona, bo zdrzemnęłam się. Gdy otworzyłam oczy była 6,15. W parę minut potem w przekonaniu, że Joe już wyszedł, udałam się do pracowni. Otworzyłam drzwi...

Inspektor zawołał służbę. Dowiedział się, że nikt poza Miltonem nie przychodził tego dnia, poczem pożegnał się i wyszedł.

— — — — — — — — — —

Zwolna po dniach choroby Elza powracała do zdrowia. Dziwiło ją, że Joe nie przychodzi. Dopiero, gdy opuściła łóżko, dowiedziała się, że znajduje się on w więzieniu — pod zarzutem morderstwa. Podziałało to na nią, jak grom z jasnego nieba. Doktór Adams musiał użyć wszystkich forteli, aby nie pozwolić Elzie wyjść z domu. Musiał jednak opowiedzieć o postępach śledztwa.

Badania ustaliły, że ojciec jej zakończył życie około g. 5-tej Żadnych śladów włamania nie znaleziono. Zdaniem policji zabójcą mógł być jedynie Milton. Na żelaznym drągu znaleziono odciski jego palców, a przedmiotem tym właśnie dokonano zabójstwa. Detektywi twierdzili, że Milton miał powody dla dokonania strasznego czynu. Określono postępek jako zabóstwo w afekcie. Depresja psychiczna, w jaką popadł Milton i jego odmowa złożenia zeznań zdawały się potwierdzać wszystko.

Elza była zrozpaczona. Wiedziała, że Joe znajduje się w matni, z której trudno mu będzie wydostać się.

W kilka dni odbyła się rozprawa sądowa. Joe przemówił wreszcie. Zeznania jego były gorączkowe, niekompletne. Mówił, że wszedł do pracowni i że zobaczył leżącego na ziemi inżyniera. Rzucił się ku niemu i wtedy dopiero zobaczył, że ten nie żyje. Co działo się między tą chwilą a przybyciem policji, nie pamiętał. Nie przypominał sobie również, aby trzymał w ręku żelazny drąg.

Wskutek spóźnionej pory dalszy ciąg rozprawy naznaczono na dzień następny. Elza widziała się z Joem. Był zupełnie otępiały. Powtarzał, że cały świat zawalił się. Potem uścisnął Elzę i pożegnał ją słowami: „Wierz mi kochana. że to nie ja zrobiłem“ i szybko oddalił się do swej celi.

Elza wróciła do domu zupełnie złamana. Doktor Adams odprowadził ją. Na Bukowej dowiedzieli się, że jakiś pan chce się widzieć z Elzą i czeka na nią w saloniku. Elza przyjęła tę wiadomość zupełnie obojętnie. Prosiła tylko doktora Adamsa, aby dotrzymał jej towarzystwa podczas rozmowy z nieznajomym, poczem weszli do salonu.

Mężczyzna o chudej, wyschniętej twarzy wstał z zajmowanego fotelu. Podszedł wolnym krokiem.

— Pani Estern. Pozwoli pani, że się przedstawię. Jestem Ed Slimson — pracuję jako reporter w New Journal.

Elza zobojętniała.

— Byłem tu — ciągnął niezrażony Slimson — równocześnie z policją... — zawahał się — musi pani wybaczyć, że mówię o tych rzeczach, ale mam szczerą ochotę pomóc pani no i... dokuczyć temu zarozumialcowi inspektorowi.

Elza wskazała panom fotele. Usiedli.

— Muszę pani powiedzieć — rozpoczął dziennikarz, że cała ta sprawa wydała mi się bardzo tajemnicza. Oczywiście sytuacja pana Miltona jest nader nieprzyjemna. Tego jednak wieczora, kiedy tu byłem — zaciekawiły mnie prace pani ojca. Wyszperałem, czem się zajmował, co robił, jakie było jego życie prywatne... Ja, musiałem tak postąpić, aby dojść sedna sprawy — dodał Slimson, jakby dla usprawiedliwienia.—Dziś mam do pani wielką prośbę. Proszę mnie zaprowadzić do pracowni. Potem, gdy wrócimy tu. opowiem, dlaczego chciałem tam być.

Elza namyślała się chwilę, wreszcie spojrzała na doktora Adamsa i powiedziała:

— Chyba możemy to zrobić, doktorze. Policja zdjęła już pieczęci z drzwi.

W chwilę potem Elza otworzyła bramę domku w ogrodzie i wpuściła panów do środka.

Wnętrze opuszczonej w tak tragiczny sposób pracowni robiło przygnębiające wrażenie. Slimson zapalił światła. Pokój wyglądał tak, jak go pozostawiono owego wieczora. Żaden przedmiot nie został poruszony. Slimson rozejrzał się wkoło.

— Chciałbym — rzekł — abyśmy powtórzyli tragiczne wypadki, które tu się rozegrały. Świeżość wrażeń może wskazać drogę do odkryć...

W pierwszej chwili Elza chciała zaoponować — lecz, spojrzawszy na Slimsona, odczuła. że temu człowiekowi nie wolno się sprzeciwiać. Rysy jego twarzy wyrażały napięcie. Był podniecony.

— Proszę! Pani stanie w drzwiach — rzekł reporter. Pan, doktorze, stanie w tem miejscu — o tak, proszę. Upadając znajdzie się pan w pozycji, w jakiej znaleziono inżyniera. Proszę, niech pan się odwróci tyłem do tego stalowego manekina. Tak, teraz dobrze...

Elza instynktownie odczuła, że za chwilę stanie się coś ważnego. Także doktór, nie mówiąc nic, obserwował bacznie dziennikarza.

— Ja tymczasem — ciągnął Slimson — będę grał rolę pana Miltona. Przypuśćmy więc, że pukam, wchodzę do pracowni, rozmawiam z inżynierem... Dochodzi do ostrej wymiany słów — uderzam go...

Doktór zachwiał się i upadł w tył.

— Proszę niech pan wstanie — rzekł reporter, podając rękę Adamsowi. No, narazie jedna okoliczność dość dziwna. Policja uważa, że cios był zadany z przodu a tymczasem inżynier został zraniony w szczyt czaszki... Co się panu stało. doktorze? — przerwał Slimson swe dowodzenia, widząc, że Adams rozciera sobie ramię.

— Och, nic. Uderzyłem się o coś, upadając.

Slimson podszedł do postumentu, na którym stał robot. Obejrzał go dokładnie i gwizdnął przeciągle .Potem poruszył jakąś sztabkę. Rozległ się lekki trzask. Na tablicy rozdzielczej zapaliła się czerwona żarówka, jednocześnie dał się słyszeć lekki, basowy szum. Elza i doktór spojrzeli zaniepokojeni na reportera. Wreszcie Adams powiedział do klęczącego Slimsona:

— Podnieś się pan, i...

Nie dokończył. W tej chwili Elza krzyknęła. Stalowy człowiek na postumencie — podniósł się wolnym, nieubłaganym ruchem. Slimson zbliżył się wolno do robota. W pracowni zapanowała grobowa cisza. Reporter przypatrywał się chwilę stalowemu człowiekowi — potem wziął ze stołu szkło powiększające i obejrzał dokładnie rękę robota. Wreszcie powiedział gośno i dobitnie:

— Podnieś rękę...

Robot powoli, jakby ociągając się, podniósł ramię do góry. W tej chwili ktoś zapukał do drzwi pracowni.

— Proszę — krzyknął Slimson.

Z przejmującym zgrzytem, szybko jak piorun, opadła ręka robota. Slimson uderzony w ramię upadł na ziemię.

— — — — — — — — — —

— Zapewniam państwa — mówił Slimson, gdy wszyscy troje znaleźli się w willi, że to tylko przypadek, a raczej siniak, który zdobył doktór Adams, uderzając się o kontakt, włączający prąd. Teraz wszystko chyba jest jasnem. Oto inżynier próbował sprawności swego robota. Stał blisko niego. W chwili, gdy Milton zapukał, odwrócił się w stronę drzwi i powiedział fatalne: „Proszę". Najwidoczniej automat był źle wyregulowany. Inżynier otrzymał cios w głowę i upadając wyłączył kontakt na postumencie. W tym czasie Milton wszedł do przedpokoju. Pewno dość długo pukał do drzwi pracowni, wreszcie zdecydował się wejść. Zastał inżyniera nieżywego. Starał się sobie wytłumaczyć powód zbrodni. Prawdopodobnie wtedy wziął do ręki żelazny drąg, domniemane narzędzie zbrodni.

— Tak — rzekł Adams — obawiam się jednak, że takie wytłumaczenie nie wystarczy, aby przekonać sędziów.

— O, mam dowód niezbity, że moje dowodzenie jest prawidłowe... — odpowiedział w zamyśleniu Slimson. Na stalowej pięści robota znalazłem ślady krwi.

Reporter wstał.

— Tak, będzie to wielka sensacja! Maszyna zabija swego konstruktora i wtrąca do więzienia niewinnego człowieka, a sama tajemnicza i nieprzenikniona ukrywa się przed sprawiedliwością. Wreszcie, gdy ją demaskują, pozostaje zimna i niewzruszona. Nawet prokurator nie będzie jej oskarżał. Pozostanie nieukarana i nikt jej za ten czyn nie znienawidzi. Oto dzieje tworu, który włączony w organizm społeczeństw XX wieku — tworu, który wystąpił przeciwko prawom tych społeczeństw i dla którego prawo nie zna sankcji. Będzie to może pierwszy wypadek, kiedy trybunał, znając przestępcę, pozostawi go na wolności i nie ukarze go.

Elza z wyrazem szczerej wdzięczności w oczach podeszła do Slimsona i wyciągnęła do niego rękę.

— Dziękuję panu — rzekła wzruszona. Przywrócił mi pan wiarę w jutro. Ja i Joe nie zapomnimy panu tego.

KONIEC.

PIĘKNA HELENA

w literaturze i sztuce



Scena z parodji operetki Offenbacha „Pięknej Heleny", w wykonaniu A. Żabczyńskiego (Parys), Zuli Pogorzelskiej (Piękna Helena) i W. Waltera (Menelaus) na deskach dawnego teatru „Morskie Oko" w Warszawie.

Są kobiety, które potęgą swej niezwykłej piękności zdobywają świat na przeciąg wielu stuleci. Do takich kobiet należy bezsprzecznie „Piękna Helena", żona Menelausa. — Zrodzona z prastarych baśni greckich, w tych czasach, kiedy ród ludzki zdobywał się na pierwsze, najwłaściwsze zrozumienie piękna, rozpoczęła potem zwycięski pochód poprzez kraje, narody świata i świeża swą niezłomną, pierwotną, młodą pięknością, dotrwała dni dzisiejszych.

Swem pięknem czarowała ludzi wszystkich stuleci. Tej — wiarołomnej małżonce, sprawczyni tylu nieszczęść — wybudowano świątynię na wyspie Delos. Tej — ziemskiej Afrodycie — przypisywano nadludzkie moce: siłą miłosnego napoju, zdobytego gdzieś w Egipcie, umiała usidlać serca; posiadała cudowny dar leczenia; świadoma była (już wówczas!) stosowania kosmetyki; jako czterdziestoletnia kobieta zachowała pełnię swej krasy; od niej wzięło nazwę ziele helenium, które zmieszane z winem, napełniało radością serca ludzkie.

Pyszna uroda Heleny sprawiła, że wybaczono jej wszystkie grzechy. Wybaczono już w owej Grecji, która tak bardzo miała rozwinięty zmysł rodzinny i tak bardzo ceniła nierozerwalność małżeńskiej spólnoty. Homer wyraża się o niej zawsze z największym respektem. I późniejsi poeci są niezłomnymi obrońcami jej czci — jak zresztą i innych podobnych kobiet: Marji Stuart, Lukrecji Borgia.

Była córką Zeusa i owej przesłodkiej Ledy, której kochankiem był bóg, przemieniony w łabędzia. Rozegrało się w jej życiu wydarzenie, które uczyniło ją ponętnym, bajecznym, wiecznie żywym tematem dla sztuki wszelkiego rodzaju. Oto na wesele boskiej Tetydy ze śmiertelnym Peleusem omieszkano zaprosić boginię Eris. Obrażona zjawia się wśród weselnych gości i rzuca na salę jabłko. O jego posiadanie rozgorzała między boginiami walka. — Rozstrzygnął ją na korzyść Afrodyty, Parys. Wzamian za to obiecała mu bogini najpiękniejszą kobietę na ziemi. I tak się też stało, że piękny królewicz-pasterz porzucił nimfę Enonę, którą tak czule kochał a porwał królewską Helenę. — Te właśnie motywy najbardziej umiłowała sztuka.

Nie było ani jednego wielkiego poety, któryby nie był czuły na wdzięki tej niewiasty. Śpiewał o niej już Catullus; krążyli wokół niej humaniści średniowiecza. Dante umieścił ją razem z Parysem w piekle tuż obok Kleopatry; Petrarca wzdycha do niej w „Trionfo d'amore"; Boccacio przemyca ją w swej noweli o Troihizie i Kresydzie. Płomienne wersetty poświęca jej trubadur Benoit de St. More; składa dla niej rymy Konrad z Würzburga i szewc-poeta Hans Sachs.

W nowoczesną literaturę wprowadza ją Anglik Walter Savage Lander w „Achill and Helena", a u schyłku minionego wieku cała Europa rozbrzmiewa dźwięcznemi arjami i kupletami offenbachowskiej „Pięknej Heleny".

Malarstwo i rzeźba razporaz sięgały ku mitowi Heleny. Leda, sąd Parysa, wesele Tetydy, porwanie Heleny — to tematy, które ułatwiały przedstawienie ideału piękna kobiecego. Rubens, Watteau, Thorwaldsen, Canova, Lieberman — ulegli tym motywom.

A pozatem tysiące poetów i plastyków wszystkich krajów i epok pozostawały pod dziwnym i przepotężnym urokiem tej najpiękniejszej z kobiet.

Alfred Laniewski.



„Parys i Helena", obraz J. L. Davida.



ŻYCIE CZEKOLADOWEJ GWIAZDY.

W odległości dwudziestu minut od Placu Opery znajduje się dzielnica willowa Paryża o charakterze prawie że wiejskim. Szerokie aleje, ciągnące się wśród szpalerów drzew, gazony i kwietniki, wille ukryte za zielenią — a nad tem wszystkiem pogodne niebo letnie.

W tem otoczeniu mieszka w pięknej willi znana „czekoladowa“ gwiazda, Józefina Baker, do której udałem się w celu przeprowadzenia rozmowy.

Gdy otwierałem wysoką bramę, obrośniętą dzikiem winem, rzuciła się ku mnie z radosnem szczekaniem cała sfora psów. I jakich psów: mieszańce najróżniejszych ras, psy jakgdyby łańcuchowe, obskoczyły mnie z wszystkich stron.

— Do nogi. Bonheur, Whisky, Zizi, Sultan — zawołała z tarasy Józefina Baker, która wyszła na moje spotkanie. Smukłe jej linje podkreślała suknia domowa o greckim kroju, w kolorze jasno-zielonym, z obramowaniem złotem.

— To są — powiedziała mi z tłumaczącym uśmiechem — dzieci, znalezione przypadkowo na szosie, z wyjątkiem Whiskyego, który jest foksem czystej rasy. Pan już zna Bonheur, który „kręcił“ ze mną film „Zuzu“ — niechże pan oglądnie Miquette i Cloclo, dwie małpy, które zakupiłam w Holandji. Obok zagroda dla ptaków pełno tam papug, kolibrów i innych ptaków egzotycznych — poprostu las tropikalny w minjaturze. Przechodzimy następnie do salonu, utrzymanego w stylu arabskim, którego weranda tworzy coś w rodzaju ogrodu palmowego. Podczas gdy pijemy kawę po turecku, zapytuję moją gospodynię:

— Podoba się pani takie „życie wiejskie“?

— Bardzo nawet, ale nie mam czasu zeń korzystać. Życie moje jest niespokojne — tak jak moje tańce. Cały czas trzeba biegać. Nie ma pan pojęcia — ile ofert, propozycyj, z których większość jest bardzo interesująca — przynosi mi każdy dzień. Trudno mi się poprostu w tem wszystkiem zorjentować. Moje życie odbywa się ściśle według programu. Np. po tygodniowym odpoczynku w Cannes — odpoczynek ten połączony jest jednak z codziennym, ścisłym treningiem — zacznę kręcić film p. t. „Księżniczka Tin-Tin“. Właśnie podpisałam kontrakt do „Ziegfelda“ w Nowym Jorku na wrzesień. Jest to dla mnie jakgdyby zdrada wobec Paryża, który tak pokochałam i który stał się moją ojczyzną. Odkryłam wszystkie cuda tego miasta i codziennie znajduję nowe. Obecnie zajmuję się pisaniem mego pamiętnika. Codzienne moje zapiski, odnoszące się tak do życia prywatnego, jak i do sceny, opracowuję teraz i zamierzam je ogłosić. Poza anegdotkami i ciekawostkami, dotyczącemi mojej karjery, można tam będzie znaleść bardzo dużo innych ciekawych rzeczy.

Piszę moje pamiętniki z p. Andre Rivollet. Będę w nich mówić o mojej młodości i o moich początkach. Pierwsze występy w Saint Louis, podróże wśród trudności, tęsknota za własnym krajem, głodowe płace — wszystko to opanowane zostało przez wolę dokonania tego, czego chciałam.

Podczas mówienia Józefina Baker ruszała się ciągle, chodziła po pokoju tanecznym krokiem, jakgdyby do dźwięków niesłyszalnej orkiestry. — Słynna gwiazda odczuwa potrzebę ciągłego ruchu. Rano jeździła konno, a zanim przyszedłem do niej, leciała w samolocie.

Sporty i bezustanny ruch są poprostu fundamentem życia czekoladowej gwiazdy. Józefina Baker uprawia je nietylko z zawodowego przymusu, by utrzymać linję i ćwiczyć swe muskuły — ale dla niej sporty wszelakiego rodzaju są jakgdyby żywiołem, w którym dobrze się czuje.

I każdy sport uprawia z równem zamiłowaniem i taką samą pasją. Aczkolwiek nazwisko jej nie figuruje w spisie zawodniczek turniejowych i wojskowych — to jednak Józefina Baker jest znakomitą sportsmenką-amatorką w pełnem tego słowa znaczeniu.

Jeździ konno, gra w tenisa, można ją zobaczyć przy kierownicy samochodu lub prowadzącą łódź motorową. Gimnastyka we wszystkich jej postaciach jest podstawą codziennego jej życia sportowego i zawodowego. Temu zawdzięcza Józefina Baker owo niesłychane wręcz opanowanie każdego mięśnia, co wywołuje zachwyt i podziw, gdy występuje na scenie w swoich przebojowych produkcjach. Znalazły one mnóstwo imitatorek — lecz pozostały, jak dotąd, niedoścignionemi w swej doskonałości.

Z wszystkich sportów, które uprawia Józefina Baker, najbardziej pasjonuje ją jednak lotnictwo. Odkąd zdała egzamin na pilotkę, samolot stał się głównym przedmiotem jej zamiłowań sportowych. Oczy jej błyszczały z zadowolenia, gdy opisywała wrażenia, jakich doznaje, trzymając w rękach ster samolotu i bujając w przestworzach.

— Co za nadludzką przyjemnością jest start samolotem. Uczucie, że człowiek odrywa się od ziemi, upaja mnie poprostu — ale by to ocenić, trzeba samemu pilotować. — Huk motoru, szmer wiatru, to wszystko połączone z zawrotną szybkością, daje prawdziwą satysfakcję. Jeszcze szybciej, jeszcze silniej — oto ruch, oto życie.

W tym momencie słychać głos telefonu i po chwili zjawia się sekretarka, która zawiadamia, iż dzwoniono z fabryki. Do samolotu wmontowano już nowy motor.

Zwracając się do mnie mówi Józefina Baker z rozpaczą w głosie: „Już trzeci motor w ciągu dwóch miesięcy. To prawdziwa katastrofa“.

Kiedy żegnałem się, usłyszałem:

— W nocy, po przedstawieniu w Operze spotykamy się „chez Florenze“, poczem, jeżeli pan zechce, możemy odbyć spacer w powietrzu. Przelecieć się o 7-mej rano nad budzącym się właśnie Paryżem — to prawdziwy cud.

— A pani nigdy nie sypia?

— Sypiać?! Nie znoszę snu.

I odeszła, kołysząc się w rytmie tanecznym.

Jean Pruniere.



WIEŻA BABEL — HOLLYWOOD!

Z chwilą powstania kinematografji obok realnego życia zjawiło się niejako drugie wydanie: egzystencja, składająca się z kulis i dekoracyj. Tysiące filmów idących w świat udostępniły miljonom ludzi to nowe życie, fikcyjne, fantastyczne i jakże barwne! Papierowa ta egzystencja stała się składnikiem niejako nierozerwalnym z życiem współczesnem.

Film mogący realizować wszelkie możliwe pomysły autorów, największych nawet fantastów — stworzył krainę baśniową, promieniującą tysiącami barw i bardzo uroczą! Stolicą tej twórczości współczesnych bajek tysiąca i jednej nocy jest Hollywood.

Myliłby się ten, ktoby uważał to miasto za jedno wielkie atelier filmowe. Jest to miasto, posiadające „normalne" dzielnice, gdzie ludzie naprawdę mieszkają, śpią i jedzą, a pozatem szereg dzielnic o najfantastyczniejszych stylach i pomysłach. Jedna część miasta poświęcona jest jedynie filmowi. I oto zaczynają się właściwe cuda, bo dzielnica ta — to zbiór miast z różnych epok historycznych, z różnych środowisk cywilizacji i krajów. Tu widzimy niemieckie miasteczko o norymberskich dachach: dalej znajdujemy dworzec kolejowy, na którym stoją wagony z niemieckiemi tablicami, a o kilkaset kroków w bok wchodzimy znów do amerykańskiego miasta, z którego mamy wspaniały widok na „port" i parowce transoceaniczne, stojące... na suchym gruncie. Lecz znajdą się tam też inne miasteczka filmowe, mogące zadowolić wszelkie gusta. Tak np. widzimy piękny zameczek myśliwski w stylu francuskiego baroku, w którym rozgrywają się zapewne historyczne sceny z dworu francuskiego. Front zameczku imituje nienagannie oryginały. Gdy jednak zajdziemy od tyłu, widzimy, że wszystko zbudowane jest z masy papierowej i jutro już zniknie może z powierzchni studja; bynajmniej nie z powodu trzęsienia ziemi; usunie go wszechwładna wola reżysera filmowego. Gdy jeszcze dalej zapuścimy się w głąb tego dziwacznego miasta, zobaczymy inny budynek, średniowieczne zamczysko, które jednak nie tyle służy do filmowania, ile jest siedzibą najwybitniejszych literatów Hollywoodu. Obszerne sale mieszczą wypracowujących scenarjusze autorów, dlatego też zamek ten zwie się popularnie „fabryką literatury". Fabryka ta jako jedyny warsztat pracy posiada duże biurka, zaopatrzone odpowiednio w ołówki, pióra, atrament itd., które właściwie są tylko... rekwizytami teatralnemi, gdyż autorzy dyktują oczywiście wszystko na maszynie. Tam spotykają się rano ci wszyscy, których pomysły tworzą scenarjusze i po szeregu godzin pracy rozchodzą się popołudniu na obiad, zwykle do „Café de Paris".

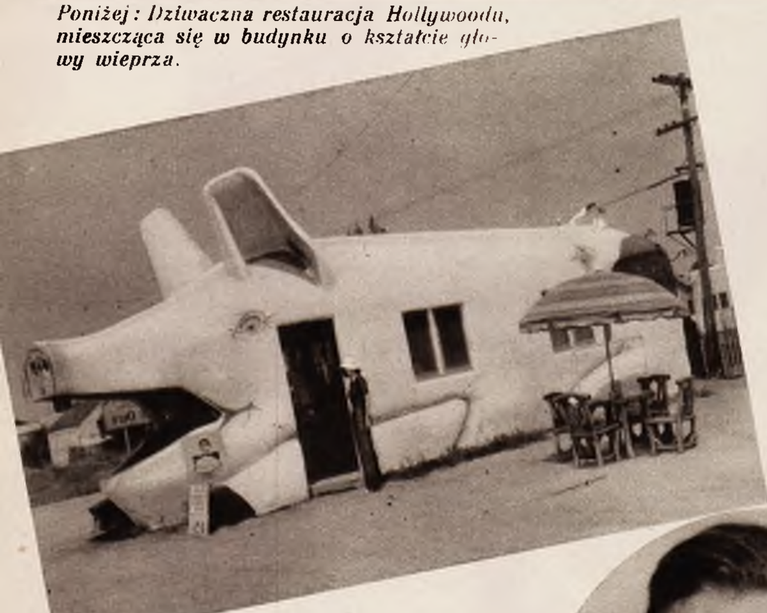
Jest to jedna z najbardziej znanych restauracyj, a sala jej przypomina halę dworca kolejowego. Usługują kelnerki, które i tu nawet przypominają żywo wielkie gwiazdy filmowe, jako, że i one są właściwie niedoszłemi aktorkami, zajętemi „chwilowo" podawaniem kawy i herbaty, zanim nie doczekają się wielkiej roli! Jedzenie tu jest świetne, a za 45 do 65 centów dostaje się obiad z kilku dań. Sąsiednie sale zajmują aktorzy, producenci, operatorzy, niektórzy przybywają na obiad wprost ze studjo w kostjumach i ucharakteryzowani.

Warto oczywiście zwiedzić dzielnicę producentów filmowych i twórców scenarjuszy. Pierwsi to bogowie filmowego Olimpu. Mają oni na czas nakręcania większych filmów swoje „bungalowy", spowite w zieleń z malowniczemi werandami. Są one pięknie położone, lecz nad wyraz prymitywne. Właściwe ich siedziby są rozrzucone po Ameryce i odznaczają się wielkim przepychem.

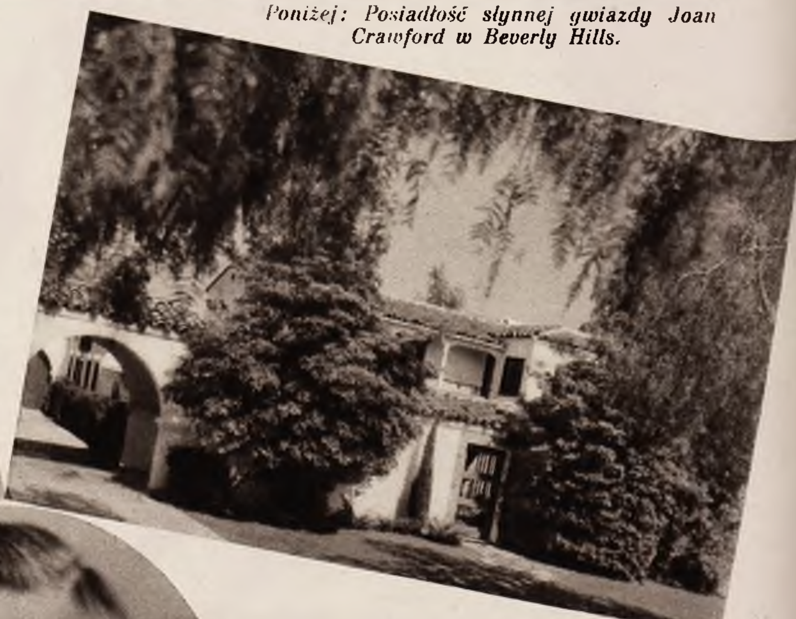


Na lewo: Jedna z ulic Hollywoodu, udekorowana kubistycznemi choinkami z okazji świąt Bożego Narodzenia.

Poniżej: Dziwaczna restauracja Hollywoodu, mieszcząca się w budynku o kształcie głowy wieprza.



Poniżej: Posiadłość słynnej gwiazdy Joan Crawford w Beverly Hills.





Will Rogers, który zginął w tragicznym locie Wiley Posta.



Miasto filmowe wytwórni „Foxa", oglądane z lotu ptaka.

Najciekawszą bodajże dzielnicą w tem dziwnem mieście, w którem wszystkie style i wszystkie epoki pomięszały się ze sobą, gdzie nieraz niewiadomo, czy ten, lub ów dom jest naprawdę takim, jakim go widzimy, czy jest nim tylko „na niby". Jest dzielnica aktorów i reżyserów filmowych. Mieszkał tu np. Will Rogers, znakomity autor scenarjuszy, aktor, cowboy, a nawet polityk, a dom jego przypomina farmę w Teksasie. Tuż obok stoi maleńki domek wycięty jakgdyby z ilustracji do bajek, cały utrzymany w kolorze niebieskim i żółtym. To siedziba najmłodszej i najpopularniejszej gwiazdki U. S. A. Shirley Temple. Wraz z nią żyje tam jej matka i pewien znany aktor. Wogóle w willach potentatów filmowych widzi się zbytek i komfort, jaki trudno sobie wyobrazić. Wystarczy nacisnąć np. guzik, a natychmiast zapala się tradycyjny nastrojowy kominek w salonie. Płomień dochodzi do pokoju z piwnicy, gdzie stale pali się wielki kocioł z naftą. Szafy wmurowane w ściany oświetlone są od wewnątrz automatycznie. Zwykła znana w Europie szafa uważana jest tutaj za... rekwizyt teatralny! Jeżeli willę zamieszkuje więcej osób, to oczywiście każda sypialnia ma osobną łazienkę, a te, które przeznaczone są dla kobiet, posiadają specjalne instalacje elektryczne do szminkowania twarzy. Ciekawym jest szczegół, że w Hollywoodzie, jak zresztą w tym wypadku w całych Stanach Zjednoczonych dziecko cieszy się niebywałą popularnością i miłością. Jest to o tyle dziwne, że wszyscy ludzie zamieszkujący Hollywood są naprawdę bardzo zajęci i mają mało czasu na swoje osobiste sprawy i zainteresowania. Mimo to domy rodzin posiadających dzieci zaopatrzone są w niebywale komfortowe urządzenia, służące wyłącznie dzieciom. Widzi się tam np. nieznany w Europie mebel, który służy za stół do przewijania i przebierania, a gdy blat jego się podniesie, znajduje się pod spodem wanna gumowa, przystosowana do kąpieli dziecka. Komfort spotkać można również w kuchni, gdzie znajduje się tylko kredens i elektryczna lodownia, podczas gdy śniadania, obiady i kolacje przyrządza się na piecu gazowym regulowanym przez zegar kuchenny. Gdy potrawa jest gotowa, gaz przestaje się palić, równocześnie głośny dzwonek zawiadamia gospodynię, że... podano do stołu! Jako typowe amerykańskie miasto i siedziba wszelkich możliwości, Hollywood buduje nowe domy i zakłada swe ogrody w śmiesznie krótkim przeciągu czasu. — Tu, gdzie wczoraj widziało się jeszcze zwykłe pole albo piaszczysty grunt, jutro wyrasta naraz park, w którym znajdziemy stare drzewa, palmy, wspaniałe kwiaty itd. Oczywiście, że i ogrody „montuje się" tak,



Oryginalna zbieraczka autografów Jean Maize (na lewo) ze swym jedwabnym płaszczem, na którym umieszczają swe podpisy słynni aktorzy i aktorki — na zdjęciu Gracie Allen i George Burns.

jak się tworzy dekoracje potrzebne do filmu. Na miejscu są zdolni ogrodnicy, do których wystarczy zatelefonować, aby „zamówić sobie" ogród w takim, lub innym guście. Przywozi się wielkie krzewy w olbrzymich płaskich pudłach, grządki kwiatowe w rynienkach, układa się wszystko według planu, zakłada ścieżki i ogród gotów.

Zwiedzanie Hollywoodu jest to błądzenie po jakiejś baśniowej krainie, w której co krok natrafia się na rzeczy niespodziewane i nadzwyczajne. Jeżeli dodamy jeszcze, że w tem dziwnem mieście słyszy się wszystkie języki świata i widzi wszelkiego rodzaju rasy i narodowości, to zdamy sobie sprawę, że jest to współczesna wieża Babel, z tektury, drzewa, dekoracji, pomalowana na wszelkie gusty i we wszelkich kolorach. Również ulice stolicy filmowej odznaczają się oryginalnością, gdyż nawet reklama amerykańska i tak już krzycząca i niebywała, przybrała tam niezwykłe rozmiary i formy. Oczywiście, że Hollywood niema żadnego stylu i charakteru, gdyż... zadużo tam dekoracyj a zamało prawdziwej treści.

To, co powiedzieliśmy wyżej — byłoby... radosną i stosunkowo niefrasobliwą stroną stolicy filmu. Lecz każda rzecz posiada i drugą stronę medalu — ma ją również i Hollywood. Składają się na nią tysiące zawiedzionych adeptów filmu, topiących beznadziejność nędznej egzystencji w kieliszku i przeróżnego rodzaju narkotykach. W dzień cała ta kilkudziesięciotysięczna armja statystów wyczekuje godzinami przed „biurami wynajmu ciał ludzkich", lub jest zajęta przy kręceniach — w nocy staje się treścią przeróżnego rodzaju podejrzanych i wielce tajemniczych lokalików „nocnego miasta". Tam niskie namiętności i niewybredne gusta znajdują swe zaspokojenie — kosztem częstokroć zdrowia, ostatnich kilku dolarów, a nierzadko i życia. Tam słabe charaktery staczają się w przepaść, z której niema już żadnego powrotu. A gdy czasem kapryśny los uśmiechnie się do któregoś lub którejś z tego pożądającego całą duszą sławy i pieniędzy tłumu — przez serca i mózgi pozostałych „na dnie" przelatuje wiew rozpaczy i szaleńczej zazdrości.

W nowoczesnej wieży Babel — w Hollywood, czarującem mieście cudownych możliwości, pulsuje wzmożonem tętnem pełnia życia: blaski i nędze — sława i upadek. — Lecz mimo wszystko — dlaczego jesteś od nas tak daleko — ty cudowne miasto?...

J. G. M.



Najpopularniejsza gwiazdeczka, świecąca na firmamencie Hollywoodu, Shirley Temple.

PIEŚŃ ★ O ★ MIŁOŚCI DAWNIEJ ★ I ★ DZIŚ...



Na angielskim zamku w epoce biedermajerowskiej...

Przy akompaniamencie banjo w U.S.A.



Niejeden z nas — młodych ludzi — pamięta czasy, w których wyznanie miłości odbywało się nieco inaczej, niż dziś — w okresie pogoni za uproszczeniem sposobów życia — powodzi najabsurdalniejszych rekordów w ekwilibrystyce obyczajowości i wprowadzenia do sfery ludzkiej uczuciowości zupełnego prymitywu.

Pamięta i zastanawia się: co jest lepsze? — co było piękniejsze? — czy realizm obecnych czasów, czy romantyzm minionych lat? I wtedy przed jego zdumionemi oczami otwiera się świat najkapitalniejszych porównań. Pod ich wpływem zaczyna rozumieć, że to co było niegdyś, nie da się przenieść na płaszczyznę współczesnego nam życia — wpleść w szaleńczy jego rytm, który niby tryby potwornej w swej sile maszyny musiałby zniweczyć subtelny kwiat dawnego romantyzmu.

Był on naprawdę piękny... W wspomnieniach niejednego z nas wykwita tęczą najwspanialszych barw...

• • •

Cichą wieś polska... Jeszcze światła migocą w starym dworze, co wtulony w konary stuletnich drzew drzemie pod rozłożystym dachem z gontów.

Przez rozwarte drzwi werandy lecą w ogród akordy wspaniałej melodji.. Wtóruje im subtelny głos kobiecy, który nuci „Je t'aime" Griega.

Przy fortepianie, wsparty o wysoki fotel stoi mężczyzna, wpatrzony w postać tej, którą kocha — w jej usta, przez które właśnie płynie wyznanie miłości w pieśni nieśmiertelnej...

To rok 1909.

• • •

Miasto! Przez ulice, oświetlone błyskawicami neonów, suną pojazdy mechaniczne... Motory grają, wyją syreny... Ich głosy wdzierają się przez otwarte okna wytwornego buduaru na piętnastym piętrze niebotycznej budowli.

Tam na puszystym dywanie klęczy młodzieniec; u jego kolan spoczywa dziewczyna, w której oczach błyszczy zachwyt. Rozwarte usta łowią słowa wesołej piosenki, którą śpiewa on, jej ideał, przygrywając sobie na banju: I love you very much, madam...

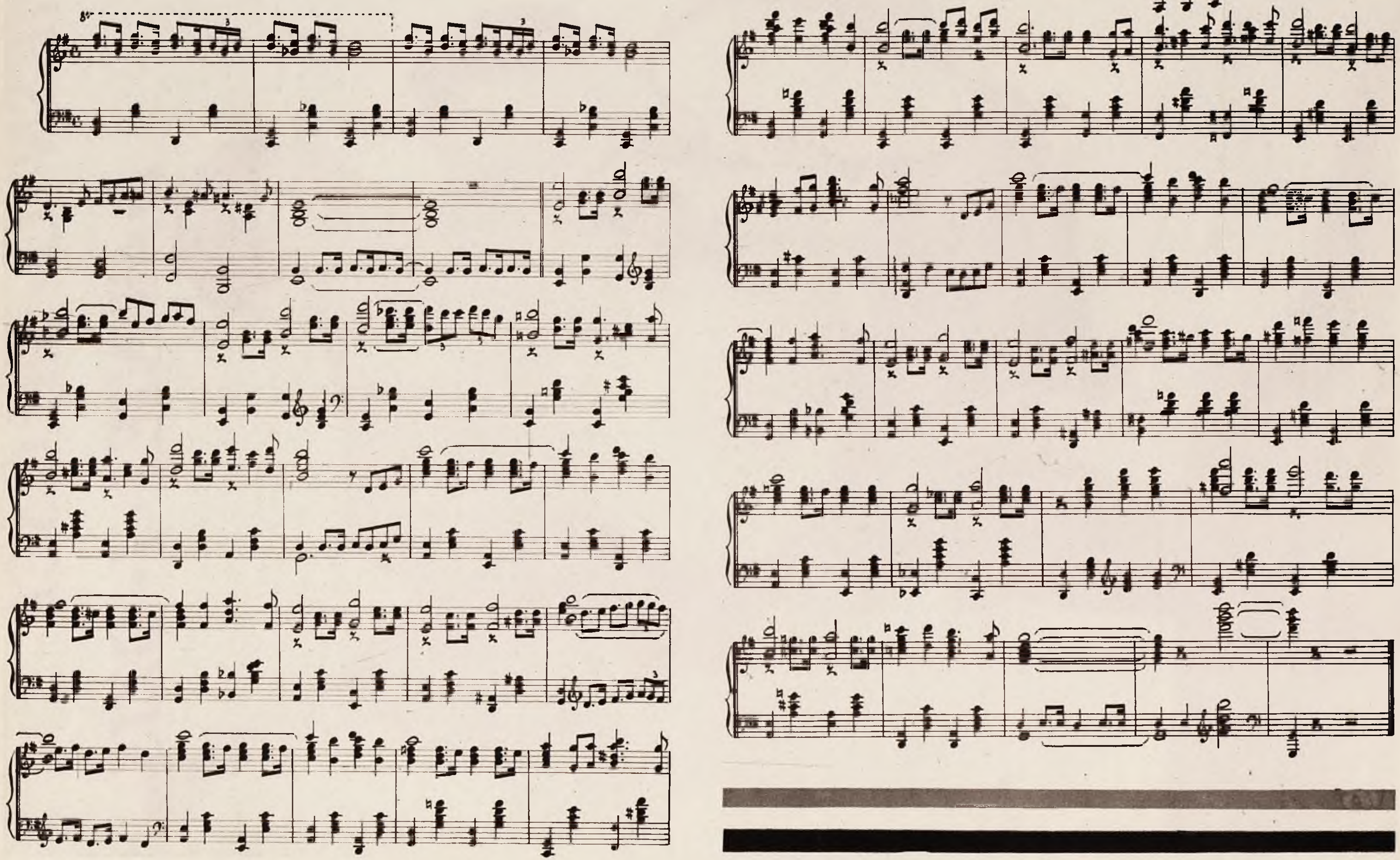
To rok 1935!

eł.

OSTATNIE SPOTKANIE

BLUES.

Muzyka Wiesława Rybickiego.



„Kucharz doskonały" Króla Jegomości...



Pałac Buckingham, rezydencja króla Anglji.



Na lewo w kole: Król Jerzy V i królowa Marja.

W starej, pięknej, typowo po angielsku urządzonej willi przy jednej z najspokojniejszych ulic południowo zachodniej dzielnicy Londynu, mieszka starszy siwy pan, który mimo swych 73-ech lat nie tak dawno jeszcze pełnił czynną służbę jako szef sztuki kulinarnej w Pałacu Buckingham, pozostając przez pięćdziesiąt lat w najbliższem otoczeniu angielskiej rodziny królewskiej, co dało jej okazję do zapoznania się ze wszystkiemi odmianami i warjantami sławnej na świat cały kuchni francuskiej.

Rok jubileuszowy króla Jerzego V-go był również datą złotego jubileuszu, łączności p. Cedard z dworem angielskim, ale niestety choroba przykuła go do łoża właśnie w okresie, kiedy czynione były przygotowania do srebrnego jubileuszu królewskiego. Dla p. Cedard miał to być dzień największego triumfu, kiedy poraz drugi od czasu koronacji króla Jerzego i może poraz ostatni w życiu, nasuwała się okazja do wytężenia wszystkich sił sztuki kulinarnej...

I dlatego, choć ból fizyczny ustąpił, głęboki smutek maluje się na twarzy p. Cedard, który — jak sam powiada — dziwnem zrządzeniem losu, nie mógł spełnić tego obowiązku wobec króla.

Karjera p. Cedard jest jedną z tych karjer życiowych ludzi, którzy za młodu zaczynają „na ślepo", nie wiedząc, w jakim kierunku iść przez życie, jak eksploatować swoje zdolności. W takich wypadkach z pomocą zazwyczaj przychodzi los i p. Cedard przez przypadek odkrywa w sobie „talent kulinarny", właściwy zresztą każdemu Francuzowi, lubiącemu smacznie jeść.

I młody Henry Cedard dostaje się do szeregu domów arystokratycznych, między innymi pracuje także przez krótki czas na przełomie roku 1880-go w kuchni hr. Branickiego w Paryżu.



H. A. Cedard, b. szef kuchni pałacu Buckingham w Londynie.
Fot. Vandyk — Londyn.

Po wielu doświadczeniach ląduje w stolicy Anglji, jako szef kuchni księcia Connaught, wuja obecnego króla, a po 15-tu latach wiernej służby, awansuje, przechodząc do kuchni ówczesnego ks. Walji, a obecnego króla Wielkiej Brytanji jako „Chef de Cuisine to His Majesty the King".

Król angielski kocha swój kraj i naród głęboką miłością wielkiego patrjoty, w uznaniu jednak bezsprzecznej wyższości kuchni francuskiej nad angielską, odstąpił, jak zresztą jego wielki wuj, od tradycyj staroangielskich, zatrzymując na swym dworze Francuza, jeszcze dziś głęboko przywiązanego do ojczyzny, rok rocznie spędzającego swe wywczasy we Francji.

P. Cedard stał się niemal nieodstępnym towarzyszem króla Jerzego. Nie odstępował go w czasie wojny na froncie, towarzyszył mu we wszystkich wyprawach pokojowych do Indyj, Australji, do kolonij brytyjskich. Do Indyj p. Cedard wyjeżdżał trzykrotnie, wszędzie studjował sztukę kulinarną danego kraju, pozostał jednak wierny zasadom kuchni francuskiej, pogłębiając swoją wiedzę przez długoletnie doświadczenie i dochodząc do takiej perfekcji, że słusznie nosi miano „dyktatora" w swoim zawodzie.

P. Cedard ma 15 orderów i odznaczeń. Przechowuje je w metalowej kasetce i oczy mu łzami zachodzą, gdy wspomina uroczystości koronacyjne króla Jerzego i związane z niemi przyjęcia, których stronę kulinarną p. Cedard reprezentował, wywiązując się ze swego zadania doskonale. Ale najwyższem dla niego odznaczeniem jest sympatja, jaką go darzy król Jerzy V...

— A czy Królowa zajmuje się sprawami kulinarnemi?

— Owszem! Każdego dnia przedkładałem Królowej menu, które potem odsyłała mi zaaprobowane lub poprawione własnoręcznie. Królowa jest z całego domu królewskiego najwybredniejsza i lubi przytem wiedzieć zawsze naprzód, co będzie podawane w ciągu dnia.

BUCKINGHAM PALACE

20th July, 1935.

The Master of the Household has to acknowledge the receipt of your letter, dated the 17th July addressed to H. M. Office of Works, and in reply

Tak wygląda nagłówek oficjalnego pisma ochmistrza dworu angielskiego.

Mogłem także chodzić osobiście w sprawach tych do Królowej, która uważała bezpośredni kontakt zawsze za wskazany.

Oto dwa rodzaje menu, jednego z przyjęć na dworze królewskim, w którem brało udział około 900 osób:

I.

Sandwiche
z pasztetem z gęsich wątróbek, sałatka z rzeżuchy, pomidorów i ogórków z jajami na twardo.
Majonez z krewetkami.
Torty:
piaskowy, imbirowy, excelsior, czekoladowy i pomarańczowy.
Plum cake
Herbatniki

II.

„Kocie języczki", Biszkopty, Sucharki
Przekąski na białym i czarnym chlebie
Konfitury
Truskawki Chantilly
Lody Princesse z andrutami
Kawa mrożona
Oranżada — lemoniada

Z pierwszego menu Królowa Mary skreśliła własnoręcznie pasztet z gęsich wątróbek, tort imbirowy i majonez z krewetkami. W drugim zastrzegła zmiany, o ile nie byłoby upału, na jaki przewidziano lody. Wyeliminowała także konfitury...

— Konfitury, to rozumiem, ale reszta...

— Reszta została skreślona ze względów ekonomicznych, Królowa jest bardzo oszczędna i nie pozwala nigdy na zbyt wygórowane wydatki kulinarne.

— Uderza tu także przytem zupełny brak win i likierów na tych przyjęciach.

— Oczywiście! Przecież to nie Francja! Tu na dworze królewskim używa się bardzo mało alkoholu. Zwłaszcza od czasu wojny.

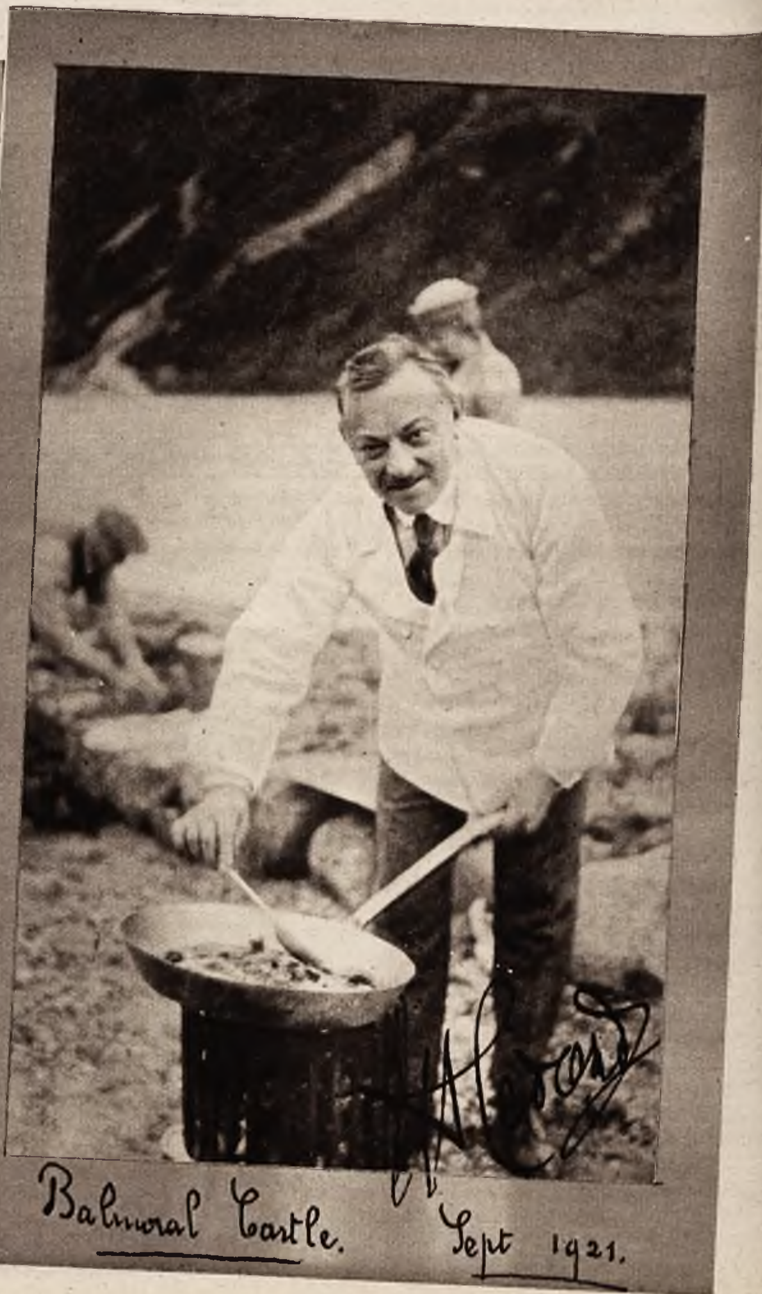
— Król Jerzy podobno dawniej lubiał dobre napoje, ale pewnego razu podczas śniadania z R. Poincare'm zauważył, że ten odmawiał wszelkich alkoholi, pijąc tylko wodę. W kilka dni potem Król Jerzy wobec zebranego swego dworu złożył przyrzeczenie, że więcej pić nie będzie...

— Książę Walji natomiast przyrzeczeń żadnych nie składał, prawda?

Pan Cedard nie odpowiedział, lecz wyraźny gest ręki był wiele mówiący...

Już zmrok zapadał, a p. Cedard snuł jeszcze swe długie opowiadania o podróżach i przeżyciach w pałacach i zamkach królewskich. — Wreszcie przerwał ciekawe refleksje na tle przeszłości i wskazując na portrety angielskiej pary królewskiej z własnoręcznym ich podpisem, zdobiące jego salon, zakończył: To ludzie o gołębiem sercu!

R. R.



Na prawo: Cedard podczas przyrządzania potraw na polowaniu w Balmoral Castle, letniej siedzibie króla Anglji (na drugim planie widoczna królowa Mary).

Z „OJCOWSKĄ" POBŁAŻLIWOŚCIĄ...
...patrzy się ten poczciwy legawiec na małego



U STÓP LIBANU

Bejrut, jak niemal wszystkie portowe miasta, przedstawia się nader malowniczo od strony morza. Miasto wznosi się na cyplu pięknego wybrzeża na tle groźnej sylwety legendarnego Libanu.

Z drżeniem serca poraz pierwszy w życiu kładę mą stopę na afrykańskiej ziemi w tem miejscu, gdzie już w 1400 r. przed Chr. Fenicjanie zbudowali miasto i port Bejrutu.

Już po wyjściu z portowego placu, napotykamy na banał architektoniczny, wciskający się błyszczącym asfaltem w głębię ciasnych i dusznych arabskich dzielnic, zamieszkałych przez mozaikę wschodnich ras.

Obok potężnego, hotelowego autobusu, pędzą rasowe limuzyny, zwalniając co krok swoje tempo przy spotykaniu wielbłądów, mułów i osłów.

Dziwna mieszanina egzotyzmu i zachodniej cywilizacji. Z poza cieniuchnego pokostu kultury europejskiej wygląda prastara cywilizacja tajemniczego Wschodu. Na głównej ulicy pomiędzy wieżami meczetów i bazylik starochrześcijańskich, migotają neonowe szyldy „Dancing Palace", „Taverne Parisienne", „Chat noire".

Przez uchylone paciorkowe kotary widzimy piękną postać araba, siedzącego na wysokiem metalowem barowem krzesełku i popijającego przez słomkę amerykański coctail.

Nie tak przedstawiałam sobie „władców pustynnych przestrzeni". Ten szejk z coctailową słomką, to motyw przewodni mych impresyj bejruckich.

Chcąc uchwycić kodakiem prawdziwy, wschodni obrazek, musimy udać się do odległych dzielnic podmiejskich, zamieszkałych przez tybulców.

Tam żyje malownicza ludność, a w licznych bazarach znaleźć możemy przedmioty artystyczne, wyrabiane od wieków ze złota, srebra i stali. Przypomniałam sobie w ciągu mych licznych wędrówek po kramach o szlachetnych damasceńkach. Szukając pewnego dnia jakiejś odpowiedniej pamiątki, udałam się do kramiku, sprzedającego wyroby z metalu. Usłużny arab pokazał mi scyzoryk, twierdząc, iż jest to tutejszy wyrób damasceński. Przy bliższej obserwacji tego „cacka" dojrzałam na jego ostrzu wyryty napis: „Made im Germany" oraz znak fabryczny... parę bliźniąt.

Gdy zaś późną nocą udaliśmy się w polskiem gronie do arabskiej kawiarni, pokazywano nam rytualne „Danse du ventre". Ognista tancerka po ukończeniu swoich tanecznych numerów obchodziła publiczność ze srebrną tacką.

Otrzymawszy od nas hojniejszy datek, przystanęła, podsłuchując prowadzonej rozmowy w polskim języku. — Uśmiechnąwszy się wdzięcznie, powiedziała z miłym, tarnopolskim akcentem: „Dżenkuję madame et messieurs!".

Irena Palotti.



Jedna z ulic nowoczesnej dzielnicy w Bejrut, gdzie turysta spotyka najwięcej kontrastów.
Fot. Delius — Paryż.



Charakterystyczny fragment życia dzielnicy handlowej w Bejrut.
Fot. Delius — Paryż.

Poniżej: W zaułkach starego miasta.
Fot. Delius — Paryż.



Dzieci Szczęścia

Tłumaczenie autoryzowane Julji Rylskiej.

2-gi ODCINEK.

J. KESSEL
POWIEŚĆ
ILUSTR. A. ŻMUDA.

Auto posuwało się teraz wolniej, dotarli bowiem w pobliże Placu Republiki. Stłoczony i żądny zabawy tłum, wypełniał uliczki, prowadzące doń. W tłumie tym byli robotnicy, odziani w brudne łachmany — i chleusowie, przybyli z gór, o dumnej postawie i mrocznem spojrzeniu; byli ludzie w przebraniu karnawałowem — kobiety, którym było widać zaledwie oczy sponad zasłony — i były twarze obleczone w groteskowe maski; byli ludzie z Malty i Tangeru — kudłaci żydzi — otyli kupcy arabscy — koniokradzi — żyjący w namiotach koczownicy — i urzędnicy państwowi; i byli żołnierze z Legji Cudzoziemskiej i marynarze. Całe to kłębowisko ludzkie, zmieszane i stłoczone, opętane fanatyczną żądzą spektaklu, dyszało ciekawością.

W pewnej chwili, kiedy kapitan, prowadzący auto, usiłował przecisnąć się z niem przez zbitą ciżbę, posterunkowy tubylczej policji zatrzymał wóz. Miał wyraźne rozkazy: wolno było tylko pieszo dostać się na Plac Republiki.

— O, nie! — zawołał zdjęty nagłą wściekłością Jasarte. — Przecież nie każe nam iść piechotą! — Przejedziemy mu poprostu po brzuchu, kapitanie — co?

— Mamy wszystkiego ze trzysta kroków do Placu... — rzekł kapitan.

— Tak, ale wśród tego zawszonego tłumu!

— Obstąpimy pana, kiedy pan taki delikatny. — Prawda, Hernandez? — zaśmiał się Ordi.

— Pewnie — pewnie! — przyświadczył oficer hiszpański.

Jasarte ścisnął zęby — otworzył drzwiczki — wyskoczył. Wyglądał znowu, jakby nie miał kropli krwi w twarzy.

„Pijany winem, czy pychą?" — pytał się w myśli Ordi, patrząc na młodego Hiszpana. Jasarte, którego rysy wykrzywiał skurcz gniewu, torował sobie brutalnie drogę w tłumie. Lecz po chwili, kiedy Ordi zrównał się z nim, Ramon uśmiechnął się do niego. Z uśmiechu tego strzeliło tak naiwne rozradowanie, że Ordi dał za wygraną. Nie, nie zrozumie chyba, co siedzi naprawdę w tym dziwnym chłopaku!

— O, niech pan patrzy! — Niech pan patrzy, jakie to piękne! — wołał Jasarte.

Dziwaczny i barwny korowód wozów, świecących złoconem drzewem, malowanemi w jaskrawe kolory kartonem i płótnem, wylewał się na plac. Na platformach tych szaleli zlani potem muzykanci i dziewczęta, opętani demonem tej gminnej bachanalji. Wozy ciągnęły za sobą istną burzę dźwięków, wybuchających z paszcz instrumentów dętych i gorący szał lubieżnych ruchów, rozkołysanych rytmem tancerek. A wokoło chwiało się morze turbanów, fezów, tarbuszów — wiewały burnusy i zasłony. W powietrzu kotłowały tumany konfetti, krzyżowały się różnobarwne wstęgi serpentyn. Krzyki, wybuchy śmiechu, urywki piosenek, wznosiły się zewsząd i wtórowały zgiełkowi orkiestr.

Nagle wszystko znieruchomiało, zamilkło — i kapitan Ordi miał uczucie, że postradał zmysły.

* * *

Kiedy doszedł na lotnisku do Roberty Elven, Ivan nie pomyślał nawet, by przywitać pocałunkiem kochankę. Ujął ją tylko mocno za ramiona i uśmiechnął się do niej. Lecz ponieważ wzrostem nie wiele był od niej wyższy, twarze ich znalazły się przytem prawie na jednym poziomie i młoda kobieta, zbliżywszy swoją, dotknęła lekko ustami jego warg. On zaś trzymał ją tak dalej przed sobą i obejmował spojrzeniem spokojnej, zdrowej przyjaźni.

— Dobre masz serce, doprawdy, skoro pomyślałaś o mnie w taki dzień. — Chodź, napijemy się prędko czegoś tu w barze, zanim odjedziesz.

— Ależ ja wcale nie odjeżdżam.

— Jakto?! A karnawał — maski — wozy — pochód?

— Już tego tyle widziałam... Lepsza dla mnie zabawa tu, z tobą.

Ręce Ivana opadły z jej ramion.

— Nie jesteś normalną kobietą.

Roberta, która bez przykrości znosiła bezwiedne okrucieństwo przyjaciela, zaśmiała się i rzekła:

— Oczywiście, wiem, że ty na mojem miejscu...

— Pewnie, to całkiem naturalne. Raz tylko w roku jest karnawał — a my... my możemy widywać się codziennie.

— O, codziennie...

— No tak, codziennie byłoby trudno: koledzy, służba — wizyty i proszone przyjęcia... Ale — rozumiesz — gdybyśmy chcieli, to moglibyśmy codziennie...

I chwycił ją wpół i pociągnął biegiem do budynku, w którym mieścił się bar podoficerów. Była to duża, jasna sala; mury jej zdobiły naiwne i bezpretensjonalne szkice — fotografje gwiazd filmowych — fragmenty strzaskanych śmig. W jednym kącie wisiał trapez.

— To mój trapez! — rzekł z dumą Vivant. — Czekaj, pokażę ci, co umiem robić na nim.

— Daj spokój. — Szalejesz, jak młody cyklon! — Pozwól, niech rozejrzę się trochę.

— Toś ty tu nigdy jeszcze nie była? — No tak, oczywiście — skądżeby. — Ale w jaki sposób dostałaś dziś przepustkę?

— Jak ja coś chcę... Widzisz, przed wyjazdem do Tangeru, Paweł poprosił o pozwolenie generała.

— Porządny chłop, Paweł!

I przez kilka minut mówili o mężu Roberty; mówili o nim gorąco i ze szczerą sympatją oboje.

Nagle Vivant jednym rzutem, jak młoda zdrowa bestja, podskoczył i zawisnął nogami na trapezie. Potem, kolejno zmieniając pozycję, wisiał zaczepiony, to karkiem, to kolanami — okręcał się, robiąc młynka w powietrzu; wreszcie rozkołysawszy się potężnie i obliczywszy dokładnie łuk, który zakreśli w powietrzu, puścił trapez, przepłynął prawie ponad połową sali i upadł, stojąc na rękach, na bufet. Trwając w tej pozycji, odezwał się do Roberty:

— Widzisz, jak byłbym mógł cudownie się bawić na wozach podczas pochodu!

Poczem spuścił się za bufet, gdzie wychylił pokolei oba nalane kieliszki whisky i szepnął:

— Naprawdę, stary obszedł się paskudnie ze mną! — A ja myślałem, że mnie lubi...

Szczere zmartwienie przyćmiło jego oczy, o ściągniętych ku skroniom kącikach, omroczyło jeszcze niewyrobioną chłopięcą twarz. Głaszcząc jasną, stojącą na jeża czuprynę chłopaka, Roberta szepnęła:

— Właśnie dlatego kazał ci tu zostać...

I powtórzyła mu rozmowę z kapitanem, podała powody, jakie przytoczył na usprawiedliwienie swoje Ordi. W miarę, jak mówiła, źrenice Ivana poczęły tracić na kolorze — stały się bezbarwne, prawie białe. Roberta zapóźno odgadła, co znaczy ten niezwykły objaw i zrozumiała, że wściekłość chłopaka doszła już do paroksyzmu.

— Tak — więc to dlatego?! — Traktuje mnie widać jak niemowlę! — wybełkotał z trudem pilot. — No, to zobaczycie! — Czy przyjechałaś tu twoim wozem?

— Nie pożyczę ci go za nic w świecie!

— A więc ty także... Zmowa! — Żeby mi nie dać — żeby przeszkodzić — m n i e przeszkodzić!!

Chwycił ją brutalnie za rękę i pociągnął na dwór, zdumioną, przerażoną, nie próbującą nawet opierać się tej furji, która, — czuła to dobrze — doszedłszy do punktu szczytowego, groziła już zupełnem porwaniem nerwów. Dociągnął ją w ten sposób do samolotu — tam uniósł ją i rzucił na tył kadłuba; sam skoczył na siedzenie pilota i, ponieważ motor był jeszcze gorący, ruszył odrazu.

* * *

Kapitan Ordi potrzebował kilku dobrych minut, by uwierzyć w to, na co oczy jego patrzyły. Samolot, którego motoru nie usłyszał wśród zgiełku szalejącego dokoła karnawału, zawarczał nagle nad placem i jak strzała począł się spuszczać prosto na tłum. Dosięgnął już linji dachów — nie zatrzymał się na niej i spadał dalej, prawie po prostopadłej.

— Defekt? — krzyknął Jasarte. — Nie, to umyślnie...

Myśl kapitana przeszła przez te same reakcje; przesunęły się w niej błyskawicą wszystkie katastrofy, jakim ulec może mechanizm aparatu, a które tłumaczyłyby szaleństwo tego manewru. Lecz żadna nie wydała mu się dosyć poważną, by usprawiedliwić go. Było zresztą widocznem, że dwupłatowiec — potworny wprost swym ogromem w zamkniętych ramach szczupłej przestrzeni — odpowiadał posłusznie kierującej nim dłoni, a motor nie miał jednego zacięcia, w miarowo grzmiącym łoskocie. To, co się działo, nie było upadkiem ani wypadkiem — było czynem umyślnym, djabelskim.

Skrzydła aparatu przysłoniły ostatnie blaski na wieczornem niebie; cień ogromny legł na placu. Muzykanci i tłum zamilkli na chwilę; potem tłum cały zawył nagle przeciągle, oszalały trwogą. Samolot leciał nań — za chwilę skosi wszystkich białemi skrzydłami — posieka, niewidocznem w zawrotnym ruchu śmigłem. Bo spadał ciągle — spadał coraz niżej, lecąc na pełnym gazie. Panika, poczucie niechybnej śmierci, opróżniły w mig wozy z figurantów — rzuciły widzów na ziemię. Wtedy dopiero, dotykając już prawie głów leżących, aparat podniósł się, zatoczył krąg, muskając nieledwie mury i stanąwszy dęba tuż przed przeszkodą okalających plac budynków, umknął w niebo.

Ordi, Hernandez i Jasarte stali jak urzeczeni. Naokoło nich ludzie powstawali powoli z ziemi, zataczali się jakby ogłuszeni piorunem. Nie mieli jeszcze czasu odetchnąć po śmiertelnej trwodze, a już rozległy się przeraźliwe krzyki kobiet — wybuchało zewsząd po arabsku, po francusku, po hiszpańsku i po berberyjsku to samo słowo: „Wraca! — Wraca!"

Jasarte ścisnął aż do bolu ramię kapitana i szepnął:

— Na Madonnę! — Zaczyna znowu! — To jest wspaniałe!!


...rozróżnił tylko porzucone puste wozy, wśród nich stojącą grupkę trzech ludzi.

— C h y b a pan zmysły traci! — wrzasnął Ordi. — Jeżeli kark skręci, to jego rzecz. — Ale zmasakruje przytem setki ludzi. — I to maszyna z mojej eskadry! Mój pilot...

— A poznał pan, który to?

— N i e, mam dwóch zdolnych do takiego szaleństwa...

* * *

W tej samej chwili sierżant-pilot Vivant z twarzą rozpromienioną olbrzymim, niepohamowanym śmiechem — oszalały radością, silną jak żywioł — doskonale przytem opanowany i pewny każdego drgnienia, najlżejszego nawet odruchu — i tak ściśle złączony z maszyną, jakby z nią jedno stanowił — rzucał się po raz drugi ze swym samolotem w ziejącą mrokiem czeluść Placu Republiki i krzyczał do utraty tchu:

— En avant Vivant! — Ivan Vivant, en avant!!

W tylnej części kadłuba aparatu leżało coś, co przypominało kształt ludzki: to Roberta gotowała się na śmierć.

Tym razem, samolot zmiótł zupełnie tłum z placu, swym pędem i łoskotem ogromnym. Ludzie rzucili się, jak oszalałe stado, by wedrzeć się w uliczki, wychodzące z placu — błogosławione wąskie uliczki, w których nie zdoła ich dosięgnąć skrzydlaty potwór.

Kiedy się znalazł znowu w wolnej przestrzeni ponad domami, Vivant wychylił się i spojrzał na plac. Na dnie czeluści rozróżnił tylko porzucone, puste wozy — niby wraki okrętów, pływające po burzy na szarej toni — i wśród nich stojącą grupkę trzech ludzi. Skolei odwrócił się z miną triumfatora ku Robercie i zobaczył, że leży, jak bez zmysłów na dnie pudła. Raz jeszcze zaśmiał się i skierował maszynę w stronę lotniska.

* * *

Ludwik Courdoneau, mechanik Vivanta, nie czekając na zejście pilota, wyskoczył na dolne skrzydło aparatu i zapytał:

— Co ci się stało? — Nie wyszedłem jeszcze z warsztatu, a tyś już toczył maszyną po ziemi!

Blada, jakby mrozem ścięta twarz Roberty, ukazała się w tej chwili nad pudłem aparatu.

— No tak, rozumiem — chciałeś przewieźć panią trochę na spacer. Ale czemu się było kryć z tem przed nami? — To nas poprostu obraża!

— On już jest taki, Vivant. Jak mu się czegoś zachce, to tak, jakby go sparzyło! — wmieszał się kapral-radjotelegrafista Popin, który zbliżył się także. — Proszę, niech pani zeprze się na mnie i spuści na ziemię. — No już. — I niech się pani uspokoi.

Mówiąc tak, przypatrywał się z uśmiechem śmiertelnie bladej twarzy młodej kobiety.

— Wytrząsł panią dobrze. Morska choroba — co? — Ale to przejdzie zaraz.

Roberta niepewnie przeszła parę kroków. Miała potrzebę uczuć ziemię twardą, błogosławioną ziemię pod stopami i uprzytomnić sobie, że jednak żyje jeszcze. Wstrząsały nią całą dreszcze, tak silne, że spazmatycznie rozedrgane jej wargi, tylko chwilami spotykały się i łączyły z sobą.

— I tak ją przestraszyć! — Mruknął Courdoneau. — Dziki człowiek!

A młoda kobieta jęknęła:

— Żebyż to tylko mnie! Ale całe miasto...

Mechanik i telegrafista spojrzeli po sobie, pełni niepokoju. Poczem zwróceny do Vivanta, który — zdawałoby się — przyrósł do siedzenia, Courdoneau warknął:

— Coś ty narobił? — Złaź tu zaraz! — Złaź mówię, albo pójdę sam wysadzić cię stamtąd! — Chodź tu!

Vivant zeskoczył na ziemię, ze zwykłą sobie zwinnością akrobaty; miał jednak uczucie, że ramiona ciążą mu ołowiem.

— Więc? — zapytał Courdoneau.

— Nic nadzwyczajnego, Ludwik. Pojechałem przypatrzeć się pochodowi — przypatrzeć mu się zbliska...

I zaśmiał się. Lecz był to śmiech wymuszony, nie dźwięczała w nim szczera radość.

— Zabierz go — szepnął Popin do mechanika — tobie jednemu się przyzna. Zostanę tu z panią.

Courdoneau uderzył z taką mocą w ramię Ivana, że kiedy ten odwrócił się, zęby zabłysły mu, jak u młodego psa, gotowego rzucić się i gryźć.

(Ciąg dalszy nastąpi).

PANI W JESIENNYM KAPELUSZU





Zmiany, jakie dokonują się w sylwetce nowoczesnej kobiety, odnośnie do ogólnej linji, jak i do szczegółów tualety, dokonują się czasami rewolucyjnie. W nadchodzącej modzie jesiennej nic nie znamionuje takich gwałtownych przemian. — Ewolucja form następuje w bardzo łagodnych, niemal nieznacznych zmianach szczegółów, co bynajmniej zresztą nie przesądza, iż pewnego poranku staniemy zdumione wobec jakiejś śmiałej innowacji o zasadniczym charakterze.

W związku z tem nosi się jeszcze modele kapeluszy bardzo zbliżone do fasonów letnich, wśród których naczelne miejsce zajmowały duże ronda.

Na lewo: Duży płaski fason kapelusza na sezon przejściowy. Piękny model kołnierza przy sukni cocktailowej. — Powyżej: Toczek ze wstążki, przybrany pękiem anemonów i woaleczką. W butonierce te same kwiaty.

Przeszedłszy od słomki do aksamitu i delikatnych filców welurowych, pozostajemy chętnie przy dużych fasonach, których ziemne kolory dają tak ładne tło dla główki kobiecej.

Obok dużych form kapelusza ukazują się coraz częściej miniaturki jego w kształcie beretów lub fantazyjnych dość toczków, przy których niemałą rolę gra znowu malutka woalka, zasłaniająca oczy delikatną mgłą, z poza której jeszcze wyraziściej występuje ich blask i ocieniona oprawa.

Przy małych zmianach formy kapelusza widzimy jednak zmiany większe w sposobie jego noszenia. Berety spadają bardzo silnie na bok głowy, przysłaniając jedno oko w filuternym kaprysie. Natomiast modele większe lub nawet toczki, ubiera się w położeniu normalnem, odsuwając je znacznie od czoła, co daje wrażenie, przy dużym zwłaszcza kapeluszu, jakby jakiejś aureoli wokół główki. Mały krągły toczek natomiast przypomina wtedy sposób noszenia coraz mniej na świecie już będącej w użyciu — korony królewskiej.

Nie ulega wątpliwości, że piękna kobieta króluje w swem otoczeniu, więc jeżeli nie może nosić prawdziwej oznaki swego panowania — bo to narazie nie jest modne — chętnie korzysta z analogji, choćby przy takim właśnie a nie innym sposobie noszenia kapelusza. Aureola, jaką stanowi rondo kapelusza, to także miły symbol, o który żadna z pań nie pogniewa się napewno.

Elwira.



Beret skórzany do płaszcza sportowego.

BIBLJOTEKA MÓWI...



Chcemy poznać otaczających nas ludzi, pragniemy wiedzieć, jakie posiadają wady, czy zalety, czem się interesują. Czasem kieruje nami zwykła ciekawość, czasami konieczność. Stawiając dyskretne pytanie: — Jakim ty jesteś? — chodzi nam o otrzymanie odpowiedzi zgodnej z prawdą. Nie każdy człowiek chce i pozwala zaglądnąć w głąb swej duszy. Wiemy z doświadczenia, ile nieraz trudu i wysiłku zadać sobie musimy, by wyrobić sobie zdanie o czyimś charakterze.

A przecież jest sposób pewny i szybki. Bo jeśli pragniemy otrzymać sąd zgodny z rzeczywistością o charakterze, o towarzyskim poziomie, stopniu wykształcenia, smaku, krótko powiedziawszy, o najistotniejszych cechach charakteru człowieka, to wystarczy tylko pod jakimkolwiek pozorem wejść do jego mieszkania i tu zobaczyć, jak wygląda jego wnętrze i jak umieszczone są książki.

— Nie można oczywiście zaprzeczyć, że już samo mieszkanie daje dostateczną wiadomość o cechach osobowości mieszkańca i że wcale nie potrzeba docierać aż do książek, aby dokładnie go poznać. Zapewne — urządzenie mieszkania mówi bardzo wiele, mówi prawie wszystko, lecz sąd w ten sposób wytworzony wymaga często rewizji i ostrożności



Nowoczesne wnętrza silą się na jak-najbardziej wygodne pomieszczenie bibljoteki. Na powyższem zdjęciu zastosowano dwie otwarte szafy, wbudowane w boczną ścianę. Na lewo: Podręczna bibljoteka pałacu hr. de N[illegible] w [illegible] szafkach ustawionych pod wspaniałym [illegible].

Tymczasem książki przeciwnie — jeden rzut oka na miejsce, na którem się one znajdują i już możemy mieć jasną odpowiedź. I przy tem może nas spotkać wiele niespodzianek. Zdarza się że szczupła, niewielka szafa na książki w skromnym pokoju młodej pani może więcej kultury zdradzić, niż olbrzymia przestrzeń zajęta na bibljotekę w willi parwenjusza, która wyraźnie zdradza, że tylko przez budowniczego a bez żadnej pomocy właściciela została urządzona. Możemy również z bezgranicznem zdumieniem stwierdzić zupełny brak jakiegokolwiek zbioru książek w takim właśnie domu, w którym powinien on być. A odwrotnie — nieraz wspaniale urządzona bibljoteka znajduje się tam, gdzieby się jej najmniej można było spodziewać.

W każdym razie zarówno mała szafa na książki — jak i cały pokój bibljoteczny — wyciskają na mieszkaniu swoiste piętno.

I niewielka szafa na książki, może, jak powiedziano wyżej, nader sympatycznie działać, jeżeli zawiera w mądrym wyborze dzieła posiadające dla właściciela szczególniejsze i osobiste znaczenie. Szafa bibljoteczna w starym stylu jest dzisiaj niemodną i może znajdować się tylko w mieszkaniach o odpowiednio harmonizującem wnętrzu architektonicznem.

Nowsza kultura mieszkaniowa woli jako miejsce dla książek używać półek, które oczywiście budowane na sposób szafkowy, są nieraz kosztowne. Również wykonana w najprostszej formie z przysłoną, opadającą w pięknych fałdach, jest wygodną i ładną. Niekoniecznie gabinet pana domu wyposażony w piękną szafę na książki, może sobie rościć pełne pretensje do poważnego zbioru książek.

Jeśli już więc sposób, w jaki książki są ułożone, jest charakterystyczny, to nieco głębsze spojrzenie na zestawienie zbioru książek daje jeszcze dalej idący klucz do poznania osobowości właściciela.

Trudno bowiem za przyjaciela książek uważać kogoś, kto obok zwyczajnych i w następstwie małego używania jeszcze po latach nowiuteńkich dzieł klasycznych, tylko mimowolnie wybrany zbiór powieści, jakieś złożone czasopisma, kilka napół naukowych dzieł pokazuje, a wszystko to zebrał bez wyraźnego jakiegokolwiek umiłowania lub skłonności. Książki mogą według swojej treści być najróżnorodniej i pstro ułożone, a jednak powinny w swej całości zawsze pozostawać w bliskim i serdecznym stosunku do pana domu. I to właśnie nadaje wartość małym bibljotekom — które może tylko półtora metra ściany zajmują — wartość daleko większą, niż wielkim pokojom bibljotecznym, których ściany pokryte są setkami książek.

Najszczęśliwiej, gdy można pozwolić sobie na specjalny pokój bibljoteczny. Przy tworzeniu ściany bibljotecznej należy myśleć równocześnie o możności czytania wygodnego książek w tym pokoju.

Wygodne i jasne miejsce przy oknie i fotel klubowy, zapraszają do zakosztowania skarbów książkowych. W pokoju bibljotecznym wymagane jest także dość obszerne miejsce do pisania, do pracy, przy której potrzeba większej ilości książek równocześnie. A wreszcie przyjacielskie kąty bibljoteczne tworzą również miłe miejsca do pogawędki z dobrym przyjacielem lub z mądrą przyjaciółką.

Pełen pogody pokój bibljoteczny jest jakby duszą domu, jest świątynią, przed której progiem zatrzymują się troski i trudy dnia. A przyjaciel książek, stojąc przed półkami, kryjącemi jego drukowane skarby, doznaje tej samej radości, jaką odczuwa miłośnik egzotycznych kwiatów, gdy w oranżerji podziwia swoich ulubieńców.

„Martwe książki" przemawiają, skoro tylko ich właściciel tego zapragnie. Trzeba tylko umieć z nimi obcować; wybierać z pośród nich te, które na to rzeczywiście zasługują, a wtedy radość posiadania ich będzie zupełna.

Stefan Stolarzewicz.

Życie towarzyskie i artystyczne

ŚLUB CÓRKI LAVALA.



Przed kilku dniami odbył się z wielką pompą w Paryżu ślub panny José Laval, córki pierwszego męża stanu Francji z hr. Rene de Chambrun, młodym adwokatem paryskim. Pan młody jest potomkiem starej rodziny francuskiej, pochodzącej z XIII wieku. Dziadkiem jego był bohater narodowy Lafayette.

Na zdjęciu: Rodzice nowożeńców na stopniach pałacu ministerstwa spraw zagranicznych na Quai d'Orsay.

Fot. Trampus.

KARNAWAŁ W SOUTHEND.



Zapewne niejeden zdziwi się, zobaczywszy powyżej zamieszczoną fotografję i przeczytawszy, że przedstawia ona królową i wicekrólową, oraz damy dworu tegorocznego karnawału w Southend (Anglja), który zakończył się tam 25-go sierpnia wspaniałą zabawą maskową. W przeciwstawieniu bowiem do naszych karnawałowych zwyczajów, sezon zabawowy w Anglji trwa przez całą wiosnę i lato i obfituje w niezwykle pomysłowe imprezy.

Fot. Keystone.

RUDYARD KIPLING



Słynny pisarz Rudyard Kipling przybył ostatnio wraz z żoną do Eastbourne w hrabstwie Sussex, na zaproszenie tamtejszej „Winifred's School" i wziął udział w wykładzie, przeznaczonym

WŚRÓD MŁODZIEŻY...

dla kursu studentów i studentek z Kanady. — Na zdjęciu: Państwo Kipling w gronie młodych kanadyjczyków, podczas lekcji, która odbywa się w ogrodzie szkoły.

Fot. Sport. General.

NOWY „GWIAZDOR".



W szeregach naszych rycerzy „X Muzy" pojawił się nowy talent, którym jest Jerzy Olgierd. Nakręca on w imprezie „Lena-Filmu" obraz zatytułowany „Młody marynarz", który już wkrótce pojawi się na ekranach naszych miast.

„Foto-America".

CAROLA LOMBARD ZARĘCZONA.



Ostatnio rozeszła się w Hollywood pogłoska, uporczywie się utrzymująca, że słynna amerykańska aktorka filmowa, Carola Lombard, zaręczyła się z synem jednego z potentatów finansowych z Wallstreet. — Na zdjęciu: Piękna Carola na tarasie swej willi w Baverly Hills.

Fot. Wide World.

W CAMBRIDGE...



...słynnem uniwersyteckiem mieście Anglji odbył się ślub rozwódki mrs. Mary Rowland, która wywodzi się w prostej linji od Wiliama Szekspira, z młodym baronem niemieckim Wolfgangiem von Schmertzing, absolwentem uniwersytetu w Harvard (U. S. A.).

Fot. Keystone.

ARMJA PIĘKNEJ PRUNELLI



Prunella Stack, 20-letnia angielka, organizatorka i przewodnicząca 60-tysięcznego Związku dziewczęcego, stworzonego dla pielęgnowania urody i zdrowia.

Trzy najwyższe wartości, w łożysku których powinien płynąć strumień życia każdego człowieka — to Dobro — Prawda — i Piękno. Trzy te wartości — pozornie tak od siebie odległe — w istocie swej łączą się ściśle ze sobą. Tak, jak prawdziwe Dobro jest bez Prawdy nie do pomyślenia — jak Prawda jest tu na ziemi Dobra tego ambasadorem — tak również i Piękno istotne może tylko błyszczeć promiennym blaskiem w świetle tych dwóch poprzednich wartości.

Cała działalność ludzka da się bez reszty zmieścić w ramach Dobra, Piękna i Prawdy. Wszelkie cele znajdują w królestwie tych trzech potęg swe ostateczne zaspokojenie.

W dziedzinie Dobra działają wielkie religje świata, systemy etyczne i — najniższe ich odbicie — prawa świeckie, liczne drogi — prowadzące de facto do jednego i tego samego celu.

Królestwo Prawdy zamieszkują filozofowie i uczeni — niezmordowaną pracą i poświęceniem wyrywający tajemnice wszechświata tej wielkiej, zagadkowej Niewiadomej, której na imię — Absolut.

I piękno wreszcie włada sercem i mózgiem estety i artysty, którzy starają się ustalić Jego normy, tworzyć style, budzić w duszach współludzi coraz to większą wrażliwość na Jego wartości. Starają się wszelkimi, dostępnymi im sposobami uszlachetnić naszą duszę i ciało, usiłując nadać obojgu jaknajszerzej pojętą treść estetyczną, jak najbardziej harmonijne kształty.

— — — — — — — — — — — — —

Taniec nowoczesny i gimnastyka rytmiczna zajęły wiele miejsca w dzisiejszym stanie posiadania artystycznego. Odkąd Izadora Duncan ośmieliła się wystąpić publicznie boso (co zresztą wywołało spoczątku wielkie oburzenie i obdarzyło piękną Izadorę mianem... bezwstydnicy!) — taniec nowoczesny wyszedł z pieluszek... klasycznej, króciutkiej spodniczki i deformujących stopy baletowych pantofli. Piękno i harmonja ludzkiego ciała wysunęły się na plan pierwszy — jako konieczny postulat prawdziwej kultury tanecznej.

Zaczęły tworzyć się szkoły, których celem było „udoskonalanie" budowy ciała ludzkiego i jego ruchów przez odpowiednio dobrane i zestawione ćwiczenia. Ilość „stylów" w dziedzinie choreografji poczęła się mnożyć. Powstały szkoły rytmiki, gdzie nauka tańca odbywała się metodą specjalną, wysuwającą r y t m na plan pierwszy. Starano się w tych szkołach o zapewnienie ciału jaknajwiększej swobody, zastosowując przy ćwiczeniach jako okrycie ciała dla dziewcząt krótkie spodniczki — dla chłopców spodeńki jedynie. Ręce po bark i nogi zostawały obnażone. Słowem obowiązywał (i do dziś obowiązuje) w takich instytutach rytmicznego tańca strój, w niczem nie krępujący ruchów, a mimo to przestrzegający wymogów przyzwoitości.

Wkońcu, „na marginesie" tych wszystkich artystycznych przedsięwzięć zaczęły wyodrębniać się instytucje, zwane przez jednych szkołami — przez innych znów instytutami piękności. Uczy się w nich przedewszystkiem estetycznego „sposobu bycia" w codziennem, szarem życiu — drogą umiejętnie wybranych ćwiczeń, a zmierzających do wyrobienia gracji i wdzięku, harmonji ruchów — a wreszcie obudzenia radości życia i pogody usposobienia.

Taką właśnie szkołę piękności — „Ligę piękności i zdrowia" — posiada w Anglji młodziutka, dwudziestoletnia zaledwie dziewczyna — miss Prunella Stack.

— — — — — — — — — — — — —

Nazwisko pięknej Prunelli zna dziś każdy mieszkaniec Anglji. Jest ona córką pani Stack, znanej w kołach towarzyskich Londynu nauczycielki gimnastyki, która kilka lat temu założyła w stolicy królestwa „Ligę piękności i zdrowia". Celem założenia tego pożytecznego



Trzy asystentki miss Stack, które mają objąć kierownictwo filji Związku, wykonują trudne ćwiczenia.

stowarzyszenia było udostępnienie również i mniej zamożnym kobietom i dziewczętom korzystania z urządzeń, służących zdrowiu i pięknu. Zasadą bowiem Związku jest, że każda kobieta, która żyje wedle norm, obowiązujących członków Ligi — może być piękną i zdrową. I nie wymaga się w tej szanownej instytucji niczego nadzwyczajnego. Poprostu tajemnicą Poliszynela tutaj jest... ruch na świeżem powietrzu, codzienna gimnastyka, dobre i serdeczne koleżeństwo i radość życia. „Liga piękności i zdrowia" postanowiła te wszystkie wartości wprowadzić w życie i możemy już dziś zupełnie śmiało twierdzić, że jej się to w zupełności udało. Sława Ligi rozeszła się szybko po wszystkich zakątkach angielskiej prowincji. Zaczęły się tworzyć filje, które po wszystkich większych miastach mają obecnie swe ośrodki — w samym Londynie zaś rozporządza Liga wspaniale wyposażonym klubem — centralą całej organizacji.

Stowarzyszenie nie zaniedbuje również i propagandy. Pochody demonstracyjne przed publicznemi budynkami, w parkach itd. reklamują Ligę coraz więcej i rozszerzają jej idee wśród szerokich mas społeczeństwa.

Gdy przed paroma miesiącami umarła założycielka Ligi, 60.000 dziewcząt i kobiet, tworzących obecnie Ligę, wybrało na swą przewodniczącą 20-letnią córkę zmarłej pani Stack. Przedstawia ona idealny wprost typ zdrowego i pięknego dziewczęcia angielskiego i okazała się mimo swoich młodych lat świetną organizatorką. Prowadzi np. kursy dla swoich asystentek, które potem wysyła na prowincję w charakterze organizatorek nowych gniazd Ligi. W ten sposób zamierza piękna Prunella rozszerzyć idee związku nietylko na Anglję — nietylko na wszystkie jej kolonje i dominja, lecz także na kontynent europejski, gdzie już zaczęła penetrację, poczynając od republiki hiszpańskiej. W ogromnej centrali Ligi, gdzie organizacja posiada nawet własne sklepy, restauracje i inne urządzenia, można widzieć ciekawe obrazki z życia członków tej przedziwnej armji. Można tam ujrzeć lekko odziane dziewczęta, oddające się wszelkiego rodzaju sportom, biegające po trawnikach, tańczące, gimnastykujące się itd. itd. Wszystkie one noszą na bluzeczkach wyszyty znak „Ligi Piękności i Zdrowia".



Piękna Prunella podczas jednej z lekcyj, traktowanej przez nią z humorem.



Ćwiczenie pokazowe dla nowo pozyskanych członkiń, które siedząc obserwują ruchy swych koleżanek.

W kole: W myśl zasad organizacji, należy być nietylko zdrową, ale i piękną. — Prunella zwraca uwagę na odpowiednie uczesanie głowy.



Zdjęcia Fot. „International Graphic Press" — Barcelona

W ten sposób Miss Prunella Stack krzewi idee piękności, zdrowia i higjeny osobistej, które to postulaty oddawna już nurtują w dzisiejszem społeczeństwie, ogarniając coraz to większe koła zwolenników. I co w tem najdziwniejsze, że piękna Prunella nie odkryła właściwie niczego nowego. Wskazała tylko drogę; stara się ją podtrzymać sugestjami przez siebie opracowanych metod i usiłuje zarazem przezwyciężyć w ludziach bardzo niemiłe i szkodliwe dla nich przyzwyczajenie: oglądania wszystkiego w czarnych barwach. Ludzie bowiem najczęściej zapominają o tem, że każda rzecz ma dwie strony: złą i dobrą. Wszyscy prawie przyzwyczaili się zwracać uwagę przedewszystkiem na stronę złą. Z tem brzydkiem przyzwyczajeniem miss Prunella Stack zrywa stanowczo i uczy swych adeptów poza higjeną i gimnastyką widzieć jedynie dobrą stronę każdej rzeczy, czy zjawiska. Ta filozofja życiowego optymizmu jest dla ludzi, którzy chcą czegokolwiek w życiu dokonać, niezbędną koniecznością. Ci, którzy zeszli z szerokiego gościńca ludzkości i poszli własną, trudniejszą i bardziej stroną ścieżynką — odznaczali się większą niż inni dzielnością życiową. Dopomogła im ona do przezwyciężenia piętrzących się na ich drodze trudności, dopomogła zaś tylko dlatego, że fundamentem jej była wiara i ufność we własne siły — radość życia i pogoda usposobienia. Miss Prunella Stack pragnie przelać te cechy ludzi wyjątkowych w masy swych dzisiejszych i przyszłych „wychowanek" — słowem, pragnie nauczyć je zdrowego optymizmu.

My ze swej strony możemy tylko najgoręcej życzyć pięknej Prunelli, by jej ideje ogarnęły cały świat i żebyśmy wkońcu wszyscy znaleźli się w szeregach tej pożytecznej armji.

A. C.

PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka — obliczone na 3—4 osoby.

ZUPA WĄTROBIANA (dla anemicznych). 15 dkg wątroby wołowej lub cielęcej, zeskrobuje się nożem jak befsztyk tatarski; żyły wraz z jarzyną wygotowuje się na rosół dodawszy kruchych kości wołowych. Małą utartą cebulkę zasmaża się z łyżką masła, zasypuje łyżką mąki, smaży chwilkę mieszając, następnie dodaje utartą wątrobę, odstawia po minucie, zalewa rosołem i wylewa do wazy na surowe roztarte żółtko. Dodatek: kluseczki lane lub francuskie.

TARTE CIASTO Z GROSZKIEM. Zwykłe tęgie ciasto (jak na makaron) trze się na grubszem tarle i suszy w piecyku, mieszając często, aby się równo zrumieniło. Łyżkę masła i łyżkę sadła rozpala się w rondelku, wsypuje ususzone ciasto, zalewa podwójną ilością wody gorącej i dusi na sypko w piecyku, wstawione do naczynia z gorącą wodą, następnie miesza z gotowanym zielonym groszkiem lub uduszonemi grzybkami. Ususzone ciasto należy przemierzyć filiżanką dla łatwiejszego orjentowania się co do ilości dodanej wody, której ma być zwykle dwa i pół razy tyle co ciasta.

BAKŁAŻANY LUB BAŁTAŻANY (aubergines) jarzyna mało u nas znana ukazuje się coraz częściej na targu. Warto się z nią zapoznać i wprowadzić na nasz stół trochę odmiany. Przy zakupnie zważać trzeba na kolor, którym kierować się należy co do świeżości, gdyż tylko świeżo zerwany lub w chłodzie przechowany owoc jest dobry, nieświeży jest gorzki. Dla orjentacji podaję, że świeży bakłażan ma kolor ciemno fioletowy, prawie czarny poza tem jest połyskliwy, jakby lakierowany, stary natomiast ma kolor jaśniejszy liljowy, a skórkę matową bez połysku.

Sposób przyrządzania jest rozmaity.

Oryginalny przepis rumuński każe owoc bez łupania go położyć na drucianym ruszcie, który ustawia się nad płomieniem i opalać owoc tak, aby skórka dała się łatwo zeskrobać. Następnie kładzie się go do zimnej wody na chwilę, wymywa, a potem wyciska silnie w serwecie, formuje małe kotleciki, posypuje mąką i smaży na maśle.

Ponieważ takie opalane bakłażany przyjmują lekki posmak spalenizny, ceniony, jak mi mówiono w Rumunji, dla naszego smaku może mniej miły, można użyć innego sposobu, a mianowicie: bakłażan ołupany kraje się na plastry pół centimetrowe, posypuje solą, przykrywa talerzem i obciąża; wytworzony sok odlewa się po godzinie plasterki macza się w mące lub lanem cieście i smaży na maśle.

BAKŁAŻANY AN GRATIN Z POMIDORAMI. Ołupane i pokrajane w plastry owoce, parzy się wrzącą wodą, następnie dusi na maśle przez 10 minut. Tę samą ilość pomidorów sparzyć, obciągnąć ze skórki i wydrążyć z pestek. W ogniotrwałem naczyniu układa się warstwami, bakłażany i pomidory, przesypując każdą warstwę lekko tartym serem szwajcarskim i kropiąc masłem. Wkońcu wstawia się potrawę na 20 minut do gorącego piecyka. Podaje się w tem samem naczyniu otoczone serwetą. Dodatek: ryż lub makaron polany masłem.

BAKŁAŻANY FASZEROWANE. Ołupane owoce wydrąża się i obgotowuje w słonej wodzie, następnie napełnia się je farszem sporządzonym z tartej bułki, jajka i smażonej cebulki lub kopru (nie zapomnieć posolić i popieprzyć) układa na brytwance ciasno obok siebie, posypuje tartą bułką, kropi masłem lub oliwą i wstawia do gorącego pieca na pół godziny.

Bardzo smaczne są też bałtażany faszerowane mięsem i ryżem lub krupkami. Lecz o tem innym razem.

BUDYŃ Z KALAFJORA. Dwie i pół bułki rozmoczone w mleku uciera się z 4. żółtkami, dodaje pianę z pozostałych białek i łyżkę tartej bułki. W formie budyniowej lub rondelku, natartym masłem i wysypanym bułeczką, układa się warstwami ugotowany w słonej wodzie kalafjor rozdzielony na pojedyncze różyczki i utartą masę bułkową. Gotuje się na parze trzy kwadranse. Do tego budyniu podaje się sos z **mleczka cielęcego:** pół szklanki rosołu, pół szklanki śmietanki, 2 żółtka, łyżkę masła roztopionego i łyżeczkę mąki, ubija się na parze na gęsty krem, zaprawia solą, białym pieprzem i paru kroplami soku cytrynowego. Wkońcu dodaje się pokrajane w drobną kostkę osobno na maśle z pieczarkami uduszone mleczko, odjęte z cielęcego mostka.

TORT CZEKOLADOWY Z BITĄ ŚMIETANĄ. 6 żółtek i 14 dkg cukru uciera się przez pół godziny, dodaje 10 dkg dobrej czekolady, 12 dkg parzonych mielonych migdałów i 1 dkg gorzkich miałko utłuczonych, wkońcu pianę z 6 białek i 2 łyżki tartych przesianych biszkoptów. Wymieszać lekko i upiec w tortownicy. Wystudzony tort pokrywa się warstwą konfitur z brzoskwiń lub moreli i nakłada na wierzch bitą młodą śmietankę.

Sc. Ko.

WPROWADZAJMY DO NASZEJ KUCHNI BAKŁAŻANY



Bakłażany mają kilka nazw w powszechnem użyciu: gruszka miłosna, bałtażany, jajko krzewiaste. Należą one do tej samej rodziny, co ziemniaki i pomidory. Krzew zależnie od odmiany dorasta 60—80 cm. — Liście ma duże, szarawo-zielone lub z odcieniem fioletowym, które na nerwach często pokryte bywają kolcami. Kwiaty podobne do kwiatów ziemniaka. Owoce, zwykle fioletowe, gruszkowate, pałkowate lub okrągławe, dochodzą u niektórych odmian do 20 cm długości a 8 cm średnicy. Przeważna ilość odmian wydaje owoce wielkości średniej gruszki.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI.

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone

Święta rzym.-kat. i żyd.	Tydzień 36 — WRZESIEŃ — Dni 30
Niedziela **1** Idziego ap. 3 Elul	Bulion z jajem. Budyń z kalafiora z sosem z mleczka cielęcego. Bażant z czerwoną kapustą, lub kuropatwy w polskim sosie z makaronem. Tort czekoladowy z bitą śmietaną. <u>Kolacja</u>: Wędliny lub zimny pasztet z dziczyzny.
Poniedziałek **2** Stefana 4 Elul	Zupa selerowa z grzankami. Tarte ciasto z groszkiem. Befsztyki z sadzonemi jajami i jarzynkami. Pommes en coquilles. <u>Kolacja</u>: Faszerowana papryka z ryżem.
Wtorek **3** Bronisławy, Iz. 5 Elul	Zupa wątrobiana. Pomidory z jajami w rancie z makaronu. Pieczeń cielęcą od nerki z marchewką i sałatą z ogórków i pomidorów Kompot mieszany. <u>Kolacja</u>: Omlety z szynką.
Środa **4** Rozalji 6 Elul	Rosół z wątrobianemi kluseczkami. Sztuka mięsa w pomidorowym sosie. Pieczone kurczęta z duszonemi ziemniaczkami i ogórkiem. Budyń owocowy zimny. <u>Kolacja</u>: Budyń z włoskiej kapusty.
Czwartek **5** Wawrzyńca bisk. 7 Elul	Zupa pomidorowa czysta. Rizotto na wątróbkach gęsich lub kaczych. Sznycelki naturalne w sardelowym sosie z kaszką. Knedelki oliwkowe z bułkowego ciasta. <u>Kolacja</u>: Pasztet z cielęcej wątróbki na ciepło.
Piątek **6** Zacharjasza pr. 8 Elul	Barszczyk czysty z uszkami z grzybków. Fasolka szparagowa z masłem i bułeczką. Pstrągi lub białe ryby na niebiesko z masłem. Strudel z jabłkami. <u>Kolacja</u>: Jaja w śmietanie, owoce.
Sobota **7** Reginy p. Elul	Rosół z kaszką. Ryż z zielonym groszkiem. Pieczona kaczka z kapustą. Placek kruchy z owocami. <u>Kolacja</u>: Hachée z mięsa rosołowego z sadzonemi jajami.

HOCKI KLOCKI

Z RUCHU WYCIECZKOWEGO.



— Tutaj krajowcy mieli niegdyś mieszkania podziemne...
— A dlaczego?
— Żeby mieć spokój od turystów!...

(Dokończenie ze str. 7-ej).

trzymy na nie jak na słup milowy, który już dawno minęliśmy. Przed nami widnieją mgliste zarysy nowych linij i nowych form plastycznych. Wykuje je idąca w tempie przyśpieszonem technika jutra.

Dzieło stworzone dzisiaj po drugiej stronie kuli ziemskiej, znajduje żywy oddźwięk niemal natychmiast na całym globie, u wszystkich ludów kulturalnych i państw. Kształt, stworzony dzisiaj w jednym kraju, znajduje rychło swą realizację w krajach innych. Zbyt szybko możemy się dziś komunikować z sobą, ażeby trzeba było czekać latami na rozpowszechnienie myśli wielkiej, stanowiącej epokę w rozwoju i postępie ludzkości.

Samolot Douglas znalazł szybkich nabywców u Japończyków. Kupiono go, przestudjowano pilnie i na jego kształt i podobieństwo buduje się nowy typ. Pociąg Burlington Zephyr znajdzie rychło kopistów. Dzieła techniki, zwłaszcza wielkie, mają w sobie coś z obrazów mistrzów. Kopjuje się je często i chętnie się je przyswaja.

Idziemy w jutro coraz szybciej. Toczymy się w tym pochodzie, jak kamień, rzucony po gładkim stoku góry. W tym pędzie zwidują się nam coraz to inne kształty, które zaklinamy w formę stałą. Ale ta forma przemija. Myśl twórcza nie da jej kostnieć. Imperatyw zwiększa chyżości, zmienia formę. Zmiana tej formy odbija się nietylko w technice, ale i w sztuce. Sztuka dostaje nowy kształt, który można nazwać symbolem wiecznego ruchu.

Tyle pobieżnie powiedzieć można o technice jutra, widzianej w bladym zarysie na tle rzeczy minionych. Nowe szczegóły konstrukcji przyszłych narzędzi ludzkiej pracy są tak zawrotne, że przekraczają najśmielsze nawet rojenia. *Sam.*

ROZWIĄZANIA Z N-ru 26.

2. RODZINNE POWIKŁANIA.

Młody człowiek nazywał się Madaliński.

3. BŁĄD W MNOŻENIU.

Błąd Zosi polegał na przemnożeniu przez 49, zamiast przez 409. Podzieliwszy różnicę błędu 328320 przez różnicę mnożników 360, otrzymamy mnożną — 912.

5. NAPRAWA ŁAŃCUCHA.

Kowalowi nie opłaci się dawać nowego łańcucha, nie opłaci się jednak także otwierać 9 ogniw dla połączenia dziewięciu kawałków, coby go kosztowało 13,50 zł. O wiele korzystniej jest otworzyć siedem ogniw dwóch najmniejszych kawałków i połączyć niemi siedem pozostałych części. Koszt takiej naprawy wyniesie tylko 10,50 zł.

ROZRYWKI UMYSŁOWE.

1. DWA KAWAŁKI STALI.

Mamy dwa identyczne zewnętrzne kawałki stali. Jeden z nich jest magnesem, drugi zaś nie. Jak można poznać przy pomocy innego kawałka metalu, który z nich jest magnesem?

2. WOREK ORZECHÓW.

Trzech chłopców obdarowano workiem orzechów i polecono im podzielić się proporcjonalnie do wieku. Suma lat wszystkich chłopców wynosi 17 1/2. Po obliczeniu orzechów okazało się, że było ich w worku 770 i za każdym razem, gdy Bolek brał cztery, to Tadek brał trzy, na każde zaś sześć orzechów Bolka przypadało siedm orzechów Janka. Po ile lat mieli trzej chłopcy i po ile dostali orzechów?

3. CZTERECH PRZYJACIÓŁ.

Czterej przyjaciele porównywali ilości posiadanych pieniędzy. Okazało się, że Czesiek miał o 10 złotych więcej od Danka, a jeśliby jedną czwartą oddał Bolkowi, to razem z Adasiem mieliby tyleż co Bolek i Danek. Jeśli zaś teraz Adaś dałby jedną trzecią swych pieniędzy Bolkowi, a następnie Bolek jedną czwartą posiadanych obecnie oddał Cześkowi, ten zaś skolei jedną piątą Dankowi — i gdyby jeszcze Bolek podzielił ćwierć pozostałych mu pieniędzy równo pomiędzy trzech przyjaciół, to wszyscy mieliby jednakowe kwoty. Ile posiada każdy z nich?

4. SZEŚCIU PODRÓŻNYCH.

Pan Bonifacy wybrał się pewnego razu do znajomych swych, mieszkających niedaleko Warszawy. Wsiadł na dworcu Wschodnim do przedziału, w którym siedziało prócz niego pięciu panów. Pociąg stawał kolejno w Rembertowie, Woli Grzybowskiej, Wesołej, Sulejówku, Miłośnie i Strudze i na każdej z powyższych stacyj wysiadał jeden z panów. Pan D wyglądał przez okno aż do Sulejówka. Pan A jechał dalej, niż pan B, a w Woli Grzybowskiej nie wysiadł ani pan B ani pan C. Pan Bonifacy pożyczył gazetę od pana E i musiał mu ją zwrócić w Sulejówku. Pan D zapłacił za bilet o kilkadziesiąt groszy mniej od pana Bonifacego. Na jakich stacjach wysiadali ci panowie?

5. POBYT W KRAKOWIE.

Dwóch panów mieszkało od kilku lat w Krakowie.

— To pan jakoby mieszka tu dwa razy dłużej, niż ja? — zapytał jeden z nich.

— Tak dokładnie dwa razy dłużej — odpowiedział drugi.

— A zdaje mi się, że dawniej pan mówił, iż trzy.

— Dwa lata temu? A bo wtedy było trzy razy dłużej, a teraz tylko dwa.

Od ilu lat każdy z nich mieszkał w Krakowie?

HUMOR ZAGRANICZNY

MARZENIA PIESKA.



Jak sobie Pikuś wyobraża raj...

(Lustige Blätter).

To warto poznać..



Cab Calloway, to Negr, który dyryguje swoją orkiestrą jak szaleniec, zatopiony w księżycowem świetle afrykańskich nocy. Prawie w każdym utworze granym przez jego orkiestrę znajduje się dla Calloway'a refren, który interpretuje on w sposób fantastyczny.

Tak, jak Armstrong wprawił w zachwyt swą publiczność grą na trąbce — tak Calloway oszałamia swym głosem i szaloną, pierwotną skalą. Jednym z takich utworów, w którym śpiewa Calloway, jest „Cabin in the Cotton". (Parish — Perkins). Fox ten, nagrany został na płycie His Masters Voice. B. 6465.

Trzeba długo wsłuchiwać się w symfonję pędzącego pociągu, aby zrozumieć, jak doskonałą i ciekawą harmonicznie, a zarazem nowoczesną jest pieśń pociągu, skomponowana przez Gerschwina i nagrana przez zespół D. Ellingtona pod tytułem: „Daybreak express". His Masters Voice B. 7229.

„Going home" (R. Stanley) to tytuł utworu, w którym popisuje się Ole Cooper, doskonały śpiewak z orkiestry M. Varlop'a. His Masters Voice K. 7310.

Paul Robeson — tak mało u nas znany baryton murzyński, chluba czarnego społeczeństwa Harlemu, który swego czasu z taką mestrją wykonał sławną pieśń: „Old man River" — śpiewa obecnie doskonały utwór „Congo Lullaby" (Vimperis — Spoliansky). Kompozycja powyższa jest jednym z przebojów filmu pt.: „Sanders of the River". Akompaniuje śpiewakowi Muir Mathieson. His Masters Voice B. 8315.

Utwór, któremu możnaby dać tytuł: „Dżungla mówi", to kompozycja „Lady with the Fan". Fox. (Calloway — Jeanne Barus — Brackman).

„Lady with the Fan" to kompozycja pełna niepokojących rytmów i niesfornych melodyj. His Masters Voice B. 6456. **(Jot).**

NA SCENIE.

W pierwszych dniach września kilka teatrów rozpoczyna nowy sezon uroczystemi premjerami. Ze specjalnem zainteresowaniem oczekiwana jest premjera w **krakowskim teatrze** im. J. Słowackiego, którego dyrekcję objął jeden z najwybitniejszych teatrologów, twórca wielu kompozycyj scenicznych i inscenizacyj, prof. Karol Frycz. Na otwarcie sezonu wystawioną zostanie niegrana nigdy w Krakowie komedja Aleksandra Fredry **„Wychowanka"**, w inscenizacji i reżyserji dyr. Frycza. W komedji tej wystąpi po raz pierwszy na krakowskiej scenie wiele nowych, świeżo pozyskanych sił artystycznych.

W **Poznaniu** w Teatrze Polskim otwarcie sezonu nastąpi w dniu 4 września premjerą arcydzieła K. H. Rostworowskiego **„Judasz z Karjothu"**. Gościnnie odegra główną rolę Ludwik Solski, który zalicza ją do najwybitniejszych swych tworzyw scenicznych. W roli tej wystąpił niedawno w Warszawie Solski na jubileuszu 50-lecia pracy scenicznej.



K. Lubieńska.

W **Warszawie** Teatr Polski wystawił ostatnio — jak to już notowaliśmy — nową sztukę Bus-Feketego p. t. „Urodziny". Jest to zgrabnie napisany życiorys sceniczny węgierskiego donżuana, sztuka ciekawa, warta poznania, zwłaszcza, że można się na niej szczerze ubawić. Rolę bohatera gra Węgrzyn z właściwą sobie rutyną sceniczną, ale lepszym w tej roli byłby bezwarunkowo Leszczyński. Bardzo dobrymi są: Marja Dulęba, Zofja Tatarkiewicz-Woskowska, K. Lubieńska, Woskowski i Dominiak.

We Wilnie Teatr Miejski gra obecnie w Letnim Teatrze w ogrodzie Pobernardyńskim komedję muzyczną Schureka **„Muzyka na ulicy"**. Dowcipnie i lekko przełożył i opracował tę historyjkę z życia grajków ulicznych M. Hemar. Bohaterów dobrze grają Surowa i Zastrzeżyński, a rolę Feli H. Skrzydłowska, wybitna siła dramatyczna, zaangażowana obecnie do Lodzi. **(swb)**



Niedziela, 1 września.

16.00: Transmisja Nabożeństwa.
12.03: Przegląd teatralny.
12.15: Poranek muzyczny.
14.00: Fragment powieści p. t. „Dziewczęta z Nowolipek".
14.20: Muzyka.
16.15: Recital skrzypcowy (z Krakowa).
17.00: Muzyka taneczna.
18.30: Słuchowisko.
19.25: Wiadomości sportowe.
19.30: Jazz dwufortepianowy.
20.00: Transmisja ze statku „Piłsudski".
20.45: Wyjątki z pism Józefa Piłsudskiego.
21.00: „Na wesołej lwowskiej fali".
21.45: Wiadomości sportowe.
22.00: Muzyka taneczna.

Poniedziałek, 2 września.

12.15: Koncert tria.
13.25: Chwilka dla kobiet.
16.45: Skecz aktualny.
17.00: Pogadanka dla kobiet.
17.20: Beethoven: Trio op. 11.
17.50: Pogadanka Br. Winawera.
18.00: Orkiestra mandolinistów.
18.40: „Życie kulturalne i artystyczne stolicy".
18.45: Muzyka.
19.35: Wiadomości sportowe.
20.55: „Obrazki Polski współczesnej".
21.00: Wesoła audycja muzyczna.
21.30: Wieczór literacki.
22.00: Koncert symfoniczny.
23.05: Muzyka taneczna.

Wtorek, 3 września.

12.03: Dziennik południowy.
12.15: Audycja dla szkół.
12.35: Fragmenty ulubionych symfonji.
13.25: Chwilka dla kobiet.
15.30: Koncert.
16.15: Recital skrzypcowy.
17.00: Odczyt.
17.15: Zespół Wiktora Tychowskiego i Ludwik Ławiński.
18.00: Utwory fortepianowe.
19.35: Wiadomości sportowe.
20.00: Biuro Studjów rozmawia ze słuchaczami P. R.
20.10: Koncert.
21.15: Muzyka operetkowa.
22.00: Muzyka salonowa.
22.30: „Obrazki z dalekiej Mongolji".
22.45: Muzyka.
23.05: Mała Orkiestra P. R.

Środa, 4 września.

12.15: Pogadanka dla kobiet.
12.30: Koncert.
15.30: Muzyka taneczna.
16.00: Audycja dla dzieci starszych.
16.45: Pogawędka o muzyce.
17.00: Reportaż.
17.50: „Świat się śmieje".
18.40: „Życie kulturalne i artystyczne stolicy".
18.45: Muzyka lekka.
19.35: Wiadomości sportowe.
19.50: Reportaż z cyklu „Samoloty i ludzie".
20.00: Koncert.
21.00: Audycja Chopinowska.
21.35: Kwadrans poezji.
21.50: Pogadanka (z cyklu „Zdobycze medycyny).
22.00: Koncert.
23.05: Muzyka taneczna.

Czwartek, 5 września.

12.15: Koncert.
13.00: Muzyka salonowa.
13.25: Chwilka dla kobiet.
15.30: Koncert.
16.45: „Cała Polska śpiewa".
17.00: Reportaż.
17.15: Koncert Orkiestry Wojskowej 57 p. p. (z Poznania).
17.15: Odczyt.
18.45: Muzyka.
19.35: Wiadomości sportowe.
19.50: Pogadanka aktualna.
20.00: Muzyka lekka.
20.55: „Obrazki z Polski współczesnej".
21.00: Słuchowisko.
21.35: Koncert.
22.00: Muzyka taneczna.

Piątek, 6 września.

12.15: Audycja dla szkół.
12.40: Koncert.
13.25: Chwilka dla kobiet.
15.30: Koncert.
16.00: Pogadanka dla chorych.
16.15: Koncert.
17.00: Reportaż.
17.50: Poradnik sportowy.
18.00: Koncert chóru mieszanego.
18.45: Muzyka lekka.
19.35: Wiadomości sportowe.
19.50: Aktualny monolog.
20.00: Koncert muzyki lekkiej.
21.15: Koncert symfoniczny.
22.30: Szkic literacki.
22.45: Koncert Orkiestry P. R.

Sobota, 7 września.

12.03: Dziennik południowy.
12.15: Koncert.
14.30: Muzyka salonowa.
15.25: „Nasz handel morski".
15.30: Koncert solistów.
16.45: „Cała Polska śpiewa".
17.00: Nabożeństwo z Ostrej Bramy w Wilnie.
19.35: Wiadomości sportowe.
20.00: Muzyka operetkowa.
21.00: Audycja dla Polaków zagranicą.
21.30: „Wesoła Syrena".
23.05: Stare piosenki.
23.20: Muzyka taneczna.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A.